

MARIE RYDZYNSKI

Panna z dzieckiem

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Czy jest moje?

W głosie pytającego brzmiało zdumienie, osłupienie, gniew i jeszcze jakieś uczucie, którego Mallory nie potrafiła rozpoznać. Wszystko razem zadudniło jak wiosenny grzmot w pochmurny ranek i rozniosło się echem po niewielkim, nowoczesnie urządzonej biurze agencji obrotu nieruchomości.

Zaskoczona Mallory Flannigan odwróciła głowę w stronę mówiącego i wypuściła z rąk całą stertę papierów, które pracownicy porządkowała przez ostatnie pół godziny. Z osłabłych dłoni wysunęło się ze dwa tuziny kartek, które rozsypały się bezładnie po biurowym dywanie. Oszołomiona dziewczyna nie zwróciła uwagi, że depcze po dokumentach, gdy odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę, który wykrzyczał swoje pytanie. Słuch jej nie zawiódł, choć w duchu modliła się żarliwie, by ten głos nie należał do Jacksona Caina. Modlitwa zamarała na ustach, a pod Mallory ugięły się kolana. Spojrzała w jasnozielone oczy intruza i wsparła się o kant najbliższego biurka, by nie upaść. Mężczyzna obejmował jej postać wzrokiem pełnym niedowierzania.

Wyglądał tak, jak można było się spodziewać, że będzie wyglądał, gdy odkryje, że ona jest w ciąży. Dokładnie tak, jak sobie tego nie życzyła. I właśnie dlatego, pełna urażonej dumy, nie wiedząc, jak zareagować, instynktownie skłamała.

- Nie, nie jest twoje - powiedziała szybko i odwróciła spojrzenie, pozbywając się mężczyzny z pola widzenia, tak jak on kiedyś się jej pozbył. - A właściwie to... cześć! Co słychać po tylu miesiącach?

Zmusiła się, by nie zwracać uwagi na przyspieszony puls, skurcz serca i ból głowy, które pojawiły się zupełnie nagle.

Teraz czekało ją o wiele poważniejsze zadanie: podnieść z podłogi papiery, które przed chwilą upuściła.

Ciągle nie patrząc na Caina, schyliła się i zaczęła zbierać rozrzucone kartki. Dlaczego musiał tak wyglądać, kiedy zadawał to pytanie, pomyślała. A zresztą, niech idzie do diabła! Czego oczekiwałaś? spytała się w duchu. Że wręczy ci kwiaty, okaże serce? Przecież go znasz. Gniewna odpowiedź Mallory wypowiedziana tonem zimnego oburzenia dźwięczała w uszach Jacksona. Dziecko nie było jego. Niezależnie od tego jak byłaby rozgniewana, Mallory nigdy nie skłamała. Tego był pewien.

Niezupełnie tak wyobrażał sobie ich spotkanie, ale ulżyło mu po oświadczeniu Mallory. Ulżyło? Oczywiście, że tak. Żaden mężczyzna nie jechałby przez cały kraj, żeby zobaczyć, iż kobieta, o której myślał przez ostatnie siedem miesięcy, która weszła mu w krew tak, że nie mógł się od niej uwolnić jak od choroby, że ta kobieta spodziewa się jego dziecka. Prawda?

Kiedy nieco się uspokoił, uświadomił sobie, że właśnie dlatego opuścił wybrzeże, a przede wszystkim Mallory, by w nic podobnego się nie wplątać. Chciał powstrzymać to, co zaczynało

się dzieć w jego życiu. Wymazać z duszy. Pozostanie z Mallory wiązało się z zaprzędanie części samego siebie. A na to nie mógł pozwolić, jeśli chciał wydajnie pracować. Dziecko oznaczałoby nadmierne zaangażowanie i zniszczyłoby wizję egzystencji, którą sobie stworzył. Jackson był zadowolony, że to nie jego dziecko.

Więc skąd to uczucie niesamowitego rozczarowania, które go przepełniało? I zazdrości. Czuł się tak bardzo zdradzony, że zupełnie nie potrafił sobie z tym poradzić. Wielka zdrada. Tak wielka jak brzuch Mallory, w którym teraz poruszało się dziecko, a który doskonale pamiętał jako płaski. Mimowolnie przypomniał sobie drgnienia tego brzucha pod dotknięciem jego palców. Kiedy nieco ochłonął, zorientował się, że Mallory właśnie zbiera z podłogi papiery, które upuściła na jego widok. Szybko schylił się i zaczął zgarniać rozrzucone kartki, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

Była w ciąży. Nie uważał się za eksperta od tych spraw, ale jej figura wskazywała na co najmniej siódmy miesiąc, jeśli nie więcej. Wyjechał stąd jakieś siedem miesięcy temu. Czyżby Mallory natychmiast znalazła sobie kochanka?

- Proszę - mruknął, nie mogąc pohamować gniewu. - Nie powinnaś schylać się w tym stanie. Przez chwilę Mallory nie mogła zdobyć się na odpowiedź w obawie, by głos jej nie zawiódł. Kłębilo się w niej zbyt wiele uczuć. Do licha, przecież marzyła o tym człowieku. Noc po nocy Jackson nieproszony wracał w snach i mówił, że rozstanie z nią to był błąd i że nadal ją kocha, pragnie jej, chce dzielić z nią życie. W snach i marzeniach widziała miłość w jego wzroku, tę samą, którą pamiętała z owej cudownej nocy, kiedy to dali życie dziecku. Wtedy Jackson miał w oczach miłość, a nie gniew, który teraz rozpałał mu wzrok.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać... pomyślała. Na szczęście nie mogły. Ale czemu tak się denerwował? To przecież Mallory miała powód do gniewu.

- A co powinnam robić w tym stanie? - mruknęła zirytowana. - Obawiam się, że nie jestem tobą, Jacksonie. Nie mam konta bankowego, z którego mogłabym czerpać bez ograniczeń, ani finansowego zaplecza w postaci rodzinnego majątku.

Ani żadnej rodziny, dodała w myślach. Nie miała bliskich, do których mogłaby się zwrócić z prośbą o pomoc, gdyby sprawy przybrały zły obrót, nawet jeśli pozwoliłaby na to jej własna niezależna natura.

- Nie mogę tak po prostu zabrać się i pójść sobie, dokąd chcę, wolna jak wiatr. Muszę zarabiać na życie. Są rachunki do zapłacenia - powiedziała i bezwiednie spojrzęła na brzuch.

To nie rachunki wprawiają ją w przygnębienie, pomyślała, przepraszając w duchu nie narodzone dziecko. Była wystarczająco dobrze sytuowana, a nawet gdyby była biedna, to i tak znalazłaby sposób, by zdobyć potrzebne środki. Pragnęła tego dziecka, chciała zatrzymać jedyny ślad miłości, o której kiedyś naiwnie sądziła, iż jest doskonała. Marzyła o dziecku jak o niczym innym na świecie, wierząc, że na pewno odziedziczy wszystkie zalety ich obojga. Bez wątplenia ten nędznik, Jackson, nie dokonał w życiu niczego lepszego.

To jemu miała za złe niefrasobliwość, z jaką odchodził i pojawiał się wiedziony kaprysem, nie bacząc na to, że nikt inny, tylko on winien był otoczyć ją opieką.

Biorąc dokumenty z rąk Jacksona, próbowała nie patrzeć nań z nienawiścią, choć nie było to łatwe. Obok stał człowiek, który nauczył ją, co znaczy miłość, a potem zniknął i przez siedem miesięcy nie dawał znaku życia. Nie napisał, nie zadzwonił. Ani razu nie spróbował się skontaktować, sprawdzić, jak sobie bez niego radzi. Nie miała zamiaru mu o sobie opowiadać, ale sprawiłoby jej pewną satysfakcję, gdyby mogła rzucić słuchawką albo odesłać nie rozpieczętowany list.

Jackson podniósł się z podłogi, a Mallory uświadomiła sobie, że ciągle klęczy z papierami w rękę. W milczeniu wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać.

Nie przyjęła oferowanej jej pomocy tak od razu. Gdyby mogła podnieść się z podłogi w jakiś inny sposób, z pewnością by to zrobiła. Nie chciała mieć do czynienia z Jacksonem. Z jego ręką też nie. Ale od samego początku nie najlepiej znosiła ciężę. Dzielnie dawała sobie radę ze wszystkim, lecz dziewiąty miesiąc wystawiał jej wytrzymałość na ciężką próbę.

Westchnęła, zdając sobie sprawę, że nie podniesie się bez pomocy Jacksona. W pobliżu nie było nikogo. Wszyscy pracownicy agencji wyszli na lunch, byli na spotkaniach z klientami albo wyszukiwali właśnie nowe obiekty do sprzedaży.

Mallory nie miała wyjścia. Albo musiała skorzystać z pomocy Jacksona, albo pozostać na podłodze. Nagle poczuła ból w krzyżu. Do licha, gdzie byli teraz ci ludzie, którzy się tu zwykle kręcili?

Spojrzała na drzwi z nadzieją, że ktoś się w nich ukaże, ale pozostały zamknięte. Przygryzła dolną wargę, wyciągnęła rękę do Jacksona i niechętnie zacisnęła palce wokół jego smukłej dłoni artysty, którą kiedyś tak podziwiała za to, że potrafi zamieniać jej ciało w instrument muzyczny. Jackson przez chwilę nie był pewien, czy Mallory przyjmuje jego pomoc, czy ciągnie go na podłogę. Zaparł się mocno nogami, by nie upaść na dziewczynę. Palce mu drżały, kiedy pomagał jej wstać.

- Dziękuję - powiedziała zimno i odwróciła się tyłem. Jackson popatrzył za nią. Czuł się dotknięty do żywego.

Cierpiała jego duma. Podeszedł do biurka.

- Jeśli nie jest moje, to czyje? - zapytał.

Mallory zawsze była piekielnie uparta. Być może, przyznał niechętnie, równie uparta jak on sam. Byłoby bardzo w jej stylu, gdyby mu nie powiedziała. A on pragnął się dowiedzieć prawdy.

Jeszcze raz objął wzrokiem Mallory. To musiało być jego dziecko. Wskazywało na to zaawansowanie ciąży. Zostawił ją siedem miesięcy temu. Siedem miesięcy, tydzień i dwa dni.

Wystarczająco dawno, by o niej zapomnieć. Dlaczego mimo upływu czasu tak się nie stało?

Czemu ciągle jej pragnął? I dlaczego teraz go okłamywała?

W Bogu pokładał nadzieję, że jednak kłamała. Ale już wówczas, gdy zadawał pytanie, wiedział, że Mallory mówi prawdę.

Jego zielone oczy płoną ogniem, pomyślała dziewczyna. Tylko wrodzony upór powstrzymywał ją od zawrócenia z drogi kłamstwa. Kiedyś kochała to ogniste spojrzenie. Do diabła, kochała go całego, takiego, jakim był, ze wszystkimi wadami. Ale parę miesięcy temu była zbyt naiwna.

Czas sprawił jednak, że dojrzywało w niej nie tylko dziecko. Zmądrzała i wydorosła. Potrafiła zdobyć się na spokojną odpowiedź.

- Myślisz, że jesteś jedynym mężczyzną na ziemi? - Mallory usłyszała własny śmiech. -

Zapewniam cię, Jacksonie Cain, że poza tobą istnieje przynajmniej jeszcze jeden o podobnych zaletach, którego uznałam za równie fascynującego. - Przerwała, by zebrać siły. - A nawet bardziej - dorzuciła.

Każde słowo chłostało Jacksona jak bicz.

- Kto? - spytał z pociemniałym wzrokiem.

- Jakim prawem znowu wkraczasz w moje życie i żądasz intymnych wyznań? - Podniosła głos. - Porzuciłeś mnie, nie pamiętasz?

Jackson nie miał zamiaru wchodzić w szczegóły. Chciał usłyszeć odpowiedź.

- Kto? - zapytał jeszcze raz ze wzrastającym gniewem, niżając głos i pochylając się nad biurkiem. - Kto jest ojcem tego dziecka?

Mallory obronnym ruchem położyła rękę na brzuchu. Nie musiała się zastanawiać, czy powinna okłamywać Jacksona. Nie o takim jego powrocie marzyła.

Ostry ból zmącił jej myśli, ale po chwili minął. Czowała pustkę w głowie. Przesunęła wzrokiem ponad głową Jacksona. Spojrzenie zatrzymało się na zdjęciu przedstawiającym absolwentów college'u, które wisało na przeciwległej ścianie. Ten college kończyli wszyscy agenci ich biura. Pod małymi podobiznami studentów umieszczono imiona i nazwiska. Zdenerwowana Mallory połączyła dane dwóch osób w jedną całość.

- Steven. Steven Mitchell - rzekła, wojowniczo unosząc podbródek.

Być może była ociążała, ale jej duch nie osłabł ani o jotę. To było właśnie to, co odkryli z Jacksonem jako pierwszą wspólną cechę. Poczucie dumy.

- Co cię to obchodzi, kto jest ojcem mojego dziecka? Jackson miał chęć chwycić Mallory za ramiona i potrząsnąć. Zamiast tego głębiej wcisnął ręce w kieszenie.

- Myślę, że kłamiesz - rzekł z przekonaniem, którego wcale nie czuł.

Niewiele brakowało, a Mallory rozplakałaby się z gniewu. Siłą woli powstrzymała łzy. Rzuciła stertę papierów na biurko i spojrzała na Jacksona z oburzeniem.

- Kłamię? Myślisz, że kłamię?

Cały gniew, który dusiła w sobie przez siedem miesięcy, wybuchnął teraz z niepohamowaną siłą. Mallory wyszła zza biurka i jak tygrys ruszyła do ataku. Wskazującym palcem mierzyła w pierś Jacksona, tę samą, do której kiedyś uwielbiała się przytulać.

- To nie ja kombinuję, ale ty.

Nie wiedział, o co jej chodzi. Kiedy ją okłamał? Wysilił pamięć, ale to niczego nie dało.

Spoglądał na ciężarną kobietę, której twarz płonęła oburzeniem.

- Jestem pisarzem - powiedział, odsuwając jej palec od swojej piersi. - Zajmuję się wymyślaniem faktów.

Czy zwodzenie jej też traktował jak pracę? Oczy Mallory lśniły gniewem nawet w chwili, gdy przeniknęło ją kolejne ostrze bólu. Zignorowała to. Emocje okazały się silniejsze niż ból. Czemu traktował ją jak idiotkę, z którą można się trochę zabawić, a potem porzucić?

- Każdego okłamujesz?

Jackson nie mógł pojąć, w czym rzecz.

- Każdego, kto kupi moją książkę...

Chwycił ją za ramiona. Choć nie było to łatwe, wcale nie potrząsnął dziewczyną. Po prostu mocno trzymał.

- Słuchaj, o co ci chodzi?

Mallory uwolniła się z jego uścisku i cofnęła o pół kroku.

- W porządku. Kupiłam twoją książkę. I uwierzyłam w każde cholerne słowo, które wyrzekłeś. Za dużo powiedziała. Umysł zaczął wysyłać ostrzegawcze sygnały, lecz czuła się zbyt mocno zraniona, by wziąć je pod uwagę. Zamilkła na moment, próbując się opanować, a potem nieco zniżyła głos.

- Albo przynajmniej mogłam to zrobić, lecz nie w tym rzecz - dodała, spoglądając na Jacksona gniewnym wzrokiem, i zdecydowanym ruchem odsunęła się od niego.

Godność została uratowana. Mallory otuliła się nią jak szalem, by nie dopuścić do siebie niczego więcej ze strony Jacksona. A może czyniła to po prostu, by osłonić się przed oskarżeniem, które ujrzała w jego wzroku.

Za nic na świecie nie da mu tej satysfakcji, by przyznać, że to jego dziecko. Nie w sytuacji, kiedy odszedł bez słowa i zostawił ją na pastwę samotności.

Teraz już nie była samotna. Oczekiwała dziecka, które po przyjściu na świat stworzy wraz z nią wspaniałą rodzinę.

A jeśli Caina rani świadomość, że tak łatwo został zastąpiony przez innego mężczyznę, to tym lepiej.

Coś w świadomości Jacksona nakazywało mu natychmiast odejść i skończyć z tym wszystkim, ale cała reszta jego jestestwa nie słuchała tych podszeptów, pragnąc za wszelką cenę poznać prawdę.

- Więc w czym problem? - zażądał wyjaśnień. Mallory otwierała i zamykała szufladę, robiąc hałas, który rozlegał się w całym biurze. Do diabła, dlaczego ciągle nikt nie wraca? Jackson nie mógłby pokrzykiwać na nią w ten sposób, gdyby ktoś jeszcze był w agencji.

- W tym - rzekła zwięźle - że moje życie to moja sprawa.

- Oczywiście.

Prześliznął się wzrokiem po jej zaokrąglonych kształtach. Brzuch rysował się bardzo wyraźnie, mimo że miała na sobie luźny strój. Dlaczego, do licha, nie wychodzi z jej biura? Nie mógł. Wyjechał do Nowego Jorku, by się uwolnić od tej dziewczyny, ale ta ucieczka w niczym mu nie pomogła. Mimo dzielącej ich odległości każdego dnia nawiedzała go myśl o Mallory. Zaiówno dystans, jak i milczenie, do którego się zmusił, okazały się daremne. W końcu zrozumiał, że wysiłek zapomnienia o niej jest równie bezowocny jak walka z wiatrakami. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że uwolnił się od Mallory, znowu pojawiała się w jego pamięci. Wspólnie spędzone chwile wracały, by prześladować go od nowa. Nic nie mógł na to poradzić, niezależnie od tego, jak bardzo się starał. Zawsze znalazło się coś, co przypominało mu o tej kobiecie.

Żyli ze sobą cztery miesiące. Gorący, intensywny uczuciowo okres, w którym Jackson nie był w stanie myśleć o niczym innym oprócz niej. Wreszcie zaczął się obawiać, że Mallory pochłonie go bez reszty, a to zniweczy jego twórcze plany. Dlatego odszedł. Uciekł, by ratować siebie i życie, do którego przywykł.

Nie poskutkowało. Wrócił, żeby zobaczyć ją jeszcze raz i przekonać się, iż jest kobietą z krwi i kości, a nie mitem czy marzeniem, które sam wyczarował i które mogło zdominować jego egzystencję.

Przyjechał, żeby zobaczyć Mallory i uporządkować własne życie. Zobaczył ją i przekonał się, jakim był głupcem. Podczas gdy on spędzał bezsenne noce w łóżku albo podejmował bezskuteczne, bo porzucane, zanim zdołały się zmaterializować, próby zapomnienia o niej w ramionach innych kobiet, Mallory była z innym mężczyzną. Kochała się z nim i zaszła w ciążę. Kiedy on tęsknił za nią, Mallory spędzała czas ze Stevenem Mitchellem. Jackson zniecierpliwiał tego człowieka.

Ogarniała go furia. Pasja, która uczyniła zeń autora bestsellerów, i głębia uczuć, które żywił tylko do Mallory, groziły wybuchem w obliczu takiej zdrady.

Gdyby Mallory mogła zdobyć się na spokojną refleksję, powinna zacząć się go obawiać, ale gniew, poczucie krzywdy i ten cholerny ból, który ją niemal paraliżował, zakłóciły działanie instynktu. Oburzenie zmobilizowało ją do ataku.

- Nie patrz tak na mnie! - zawołała, nie mając pojęcia, że Jackson ma chęć ją udusić.

- Jak?

Gdyby miała dość sił, rzuciłaby się na niego z pięściami, ale wszystko, co mogła zrobić, ograniczało się do stania w miejscu. Nagle poczuła, że słabnie, lecz gniew dodał jej energii.

- Jakbyś był faryzeuszem, który rozgląda się za kamieniem, żeby nim we mnie rzucić.

Widziała, że Jacksona zdenerwowała taka opinia, ale nie dopuściła go do głosu. Jeszcze z nim nie skończyła.

Nigdy z nim nie skończysz, usłyszała wewnętrzny głos, lecz go zignorowała.

- Porzuciłeś mnie, nie pamiętasz?

Jeśli Jackson chciał odpowiedzieć, to ona jeszcze nie była gotowa do wysłuchania jego tłumaczeń.

- Odszedłeś, by oddać się pracy, bo ja ci przeszkadzałam. Czy on w ogóle miał pojęcie, jak bardzo ją zranił? Kim był, żeby podejrzewać, iż chciała zrobić cokolwiek, co naraziłoby na szwank jego dobro? Pragnęła go i akceptowała ze wszystkimi wadami. A mimo to odszedł.

- Co, według ciebie, miałam robić? Żyć samotnie i po nocach czytać twoje książki?

Mallory niechętnie powiedziała prawdę. Jej życie w rzeczywistości właśnie tak wyglądało. Siedziała w domu, przeklinając pamięć o nim. Podarła nawet kilka jego książek, ale to nie poprawiło jej nastroju. Nic nie pomagało, dopóki nie odkryła, że jest w ciąży. Wtedy zaczęła planować przyszłość dla siebie i dziecka.

- Nawet jeśli je czytałaś, to chyba nie po nocach - Znowu prześliznął się wzrokiem po jej ciele. -

Dużo czasu ci zajęło, żeby o mnie zapomnieć? Dzień? Tydzień? Godzinę?

Jak mogła to zrobić? Jak mogła, pomyślał.

Mallory dumnie uniosła głowę. Nie miał prawa zachowywać się jak odtrącony kochanek, skoro to on zdecydował się na odejście.

- Naukowcy nie określili jeszcze, ile czasu powinno to trwać, ale pracują nad tym - rzekła. -

Pewnie posłużą się wymiarami serca zdrajcy jako wyznacznikiem.

- Gdyby mieli trudności, to powinni wiedzieć, gdzie go szukać. A może ty już nie masz serca?

Straciłaś je razem z poczuciem lojalności?

Do licha, myśl o niej z innym mężczyzną nie powinna aż tak go ranić. Ale raniła i to bardzo boleśnie. Jackson czuł się tak, jakby ktoś wyrwał mu wnętrzności i odszedł ze śmiechem.

- Lojalności? - Mallory nie mogła ochłonąć z niedowierzania. - Lojalności? Wobec kogo?

Człowieka, który trzymał cię w ramionach, mówił, jak wiele dla niego znaczysz, a potem odszedł?

Jackson dokładnie pamiętał, o czym mówiła. To był moment słabości, nic więcej, tłumaczył sobie. Nie miał zamiaru wypowiadać takich słów, a w każdym razie nie na głos.

Lecz to niczego nie zmieniało.

- Jak długo czekałaś?

A może przez cały czas był ktoś jeszcze? Kiedy on ją kochał i tulił do siebie, był inny mężczyzna, do którego potem wracała? Musiał się tego dowiedzieć.

- Jak długo? - powtórzył.

Mallory otworzyła usta, by wykrzyknąć kolejne kłamstwo, ale ból nie pozwolił jej wymówić choćby słowa. Ostry, przejmujący ból, który dotarł do każdego skrawka ciała i skoncentrował na sobie całą jej uwagę. Wszystko inne zatarło się w świadomości. Z trudem chwytła powietrze. Sprzeczka skończyła się nagle. Jackson pochwycił Mallory w momencie, gdy się zachwiała, pobladła i wyglądała, jakby miała zamiar upaść.

- Co ci jest? - spytał, zaciskając dłonie na ramionach dziewczyny, by pomóc jej utrzymać równowagę.

Chciała go odtrącić i odejść o własnych siłach, ale nie mogła się ruszyć. Ból przyginał ją ku ziemi.

- Nie wiem... Ja...

Nagle zabrakło jej tchu, by powiedzieć coś więcej. Przez ścianę bólu nie przedostało się ani jedno słowo.

Jackson rozglądał się dokoła za kimś, kto mógłby im pomóc, ale w małym biurze nie było nikogo. Mocno trzymając Mallory za ramiona, zaczął ostrożnie sadzić ją na krześle.

- Może lepiej byłoby, żebyś usiadła.

- Trafna uwaga - mruknęła. - Zawsze podziwiałam szybkość, z jaką pracuje twój umysł.

Nagle pokój wydał się jej ciemny. Mallory próbowała skoncentrować się na czymkolwiek.

Nawiedziła ją przerażająca myśl, że zaraz zemdleje. Nie, nie mogła zachowywać się jak bohaterka kiego melodramatu. Nie chciała zemdleć w obecności Jacksona.

Zorientował się, że Mallory ma trudności z oddychaniem. Nie należał do ludzi, którzy łatwo wpadają w panikę, ale nigdy nie miał do czynienia z mdlejącą kobietą w ciąży. Może należało zadzwonić po pogotowie? Powoli podniósł rękę i próbował dosięgnąć telefonu na jej biurku, ale Mallory go powstrzymała.

- Jackson - wyszeptwała.

- Co? - spytał zaniepokojony i osunął się na kolana.

- Chyba wiem, co się dzieje.

Była cała spocona. Jackson odgarnął jej włosy z czoła.

- Co takiego? - zapytał.

Mallory oblizła wargi i poczuła, że odeszły jej wody. To tylko potwierdziło przypuszczenia.

- Będę rodzic.

ROZDZIAŁ DRUGI

Słowa Mallory ciągle dźwięczały Jacksonowi w uszach. Wlepił wzrok w krzywiącą się z boku dziewczynę. Chyba nie mówiła poważnie?

- Co takiego? - próbował się upewnić.

Jeśli poród miał wiązać się z takimi odczuciami, wystarczy jedno dziecko, przysięgła sobie Mallory. Nie miała zamiaru przeżywać tego nigdy więcej.

- Ogłuchłeś? Będę rodzic - wysapała, czując kolejny przypływ bólu i strachu.

Jackson próbował uwolnić przegub ręki z uchwytu Mallory, lecz nie było to łatwe. Trzymała się go tak mocno jak tonący deski ratunkowej.

- Teraz? - zapytał.

Czy on całkiem zgłupiał w tym Nowym Jorku?

- Nie, za rok - mruknęła.

Wolną ręką trzymała się za brzuch tak, jakby to miało zapobiec przedwczesnemu przyjściu na świat dziecka.

- Teraz - krzyknęła, kiedy ciało przeniknęło nowy atak bólu.

Wzrok Jacksona spoczął na brzuchu Mallory. Widać spodziewał się, że za chwilę pojawi się dziecko ponaglone jej krzykiem, który rozniósł się echem po całej agencji. Oswobodził rękę i sięgnął ponownie po telefon. Jednak Mallory znów unieruchomiła jego dłoń.

Co on wyrabiał? Nie było czasu na rozmowy przez telefon. Musiała jak najszybciej dostać się do szpitala.

- Weź mnie.

Wziąć ją? O tym właśnie myślał przez ostatnie miesiące. Wziąć ją na kuchennym stole, na stoliku do kawy, na podłodze, na plaży o zmroku. Zawsze i wszędzie. Nieobecna Mallory zawładnęła jego myślami bardziej niż wówczas, gdy byli razem.

Ale to naprawdę nie był czas, by wcielać w życie którąkolwiek z takich fantazji, nawet jeśli Steven Mitchell miałby w tym nie przeszkadzać.

Jakson zdobył się na uśmiech, choć wcześniej nie podejrzewał nawet, że jest do tego zdolny. Wypełniała go czułość i łagodność.

- Bardzo chciałbym cię wziąć, ale sądzę, że teraz potrzebujesz raczej lekarza niż mnie. Musiała minąć chwila, zanim zamroczona bólem Mallory zrozumiała, co mówił. Od kiedy stał się takim egoistą? Od czasu kiedy ją opuścił? Wcześniej nie zachowywał się w podobny sposób. Ale może nie znała go wystarczająco dobrze.

- Nie - prawie krzyknęła. - Weź mnie... do szpitala. Zawieź mnie!

O Boże. Bóle powtarzają się z coraz większym natężeniem i szybkością, pomyślała przerażona. Nadchodzą bez ostrzeżenia i wybuchają płomieniem.

Do szpitala. Oczywiście, że to miała na myśli, mówiąc. „Weź mnie”. Tylko jego własne pragnienia nadały inny sens słowom i sprawiły, że zleje zrozumiał. Jackson w głębi ducha czekał na takie słowa, kiedy ją zobaczył po okresie rozstania. Nie w głowie mu były żadne dzieci ani szpitale.

Wszystko potoczyło się inaczej, pomyślał, spoglądając na Mallory.

- Próbuje ci pomóc - rzekł, usiłując dosięgnąć telefonu. - Wezwę ambulans.

Mallory potrząsnęła głową. Najmniejszy ruch przyprawiał ją o zawrót głowy. Nabrała powietrza, rozpaczliwie pragnąc znaleźć sposób na przedłużenie chwili wytchnienia pomiędzy kolejnymi falami bólu. Chciała uporządkować myśli, ale przed cierpieniem nie było ucieczki.

- Nie ma czasu. Szpital jest tuż obok.

Jackson patrzył na nią zakłopotany, jakby nie rozumiał, o czym Mallory mówi.

- Szpital Harris Memorial. Po sąsiedzku.

Ostatni wyraz zabrzmiał jak jęk. Jackson z trudnością zorientował się, o co chodzi. Szpital znajdował się kilkaset metrów stąd. Wezwanie ambulansu i przewiezienie jej tam zabrałoby więcej czasu, niż gdyby sam ją odwiózł.

- Dobrze, pojedziemy. Odwiezę cię - poprawił się szybko.

Do tej pory nie doświadczył uczucia paniki. Nie miał pojęcia, co się wówczas czuje, dopóki go nie ogarnęła. Musiał odwieźć Mallory do szpitala. I to szybko.

Przyjechał tu na swoim harleyu. Uwielbiał ten motocykl. Pokonał na nim trasę do Nowego Jorku i z powrotem, przyprawiając swojego wydawcę o palpitację serca. Ale motocykl, który znakomicie mu służył we wszystkich sytuacjach, nie nadawał się do odwożenia ciężarnej kobiety do szpitala.

- W porządku, w porządku - powiedział kojącym tonem, próbując uspokoić zarówno Mallory, jak i siebie.

Czeka mnie godzina próby, pomyślał.

- Musimy wziąć twój samochód - rzekł, rozglądając się wokół. - Gdzie są kluczyki?

Fala bólu odpłynęła. Mallory usiłowała zebrać myśli. Zdobyła się na coś, co w innych okolicznościach można by nazwać grymasem, a co teraz miało pozory uśmiechu.

- Przyjechałeś motocyklem, prawda?

- Tak.

Jackson zaczął przeszukiwać szuflady biurka. W najniższej piętrzyły się katalogi firm oferujących dziecięce ubranka, mebelki i zabawki, więc zajrzał do następnej.

- Jazda na motorze z tobą w ogóle nie wchodzi w grę - powiedział, nie dodając, że ta uwaga dotyczy wyłącznie obecnej sytuacji.

Uznał, że tak będzie lepiej, że w tej chwili nie należy drażnić kobiecej próżności.

- Mogłabyś urodzić wskutek wstrząsów.

- Może nie byłoby to takie złe... - jęknęła.

Jackson spostrzegł, że znowu zognomniały jej oczy, a to sygnalizowało następny atak bólu. Głęboki jęk, który temu towarzyszył, potwierdził jego przypuszczenia.

Otworzył trzecią szufladę i przerzucił jej zawartość.

- Znalazłem - oznajmił triumfalnie i wyciągnął torebkę Mallory.

Dopiero po chwili zorientował się, że torba, którą Mallory zwykle nosiła na ramieniu, jest bardzo ciężka. Jak ona w tym stanie dawała sobie radę z takim ciężarem? Miała w torebce więcej rzeczy niż on w walizce, kiedy wyjeżdżał do Nowego Jorku. Wszystko, co posiadał, oddał wówczas do przechowalni.

Powędrował wzrokiem ku Mallory, by przekonać się, iż mimo że należała do innego mężczyzny, któremu właśnie miała urodzić dziecko, ciągle była dla niego najbardziej upragnioną kobietą, jaką znał.

Nie było czasu, by nad tym rozmyślać. Należało dostać się do szpitala tak szybko, jak to możliwe. Przerzucając rzeczy w torbie, Jackson natrafił wreszcie na klucze. W tym momencie Mallory znowu zaczęła gwałtownie chwytać powietrze. Jackson rzucił torebkę i objął ją mocno, w obawie że zemdleje.

- Na razie nic mi nie jest - powiedziała z wysiłkiem. Puścił ją i spojrzał na pęk kluczy, które trzymał w ręku.

- Który jest od samochodu? - zapytał, podzwaniając nimi, by zwrócić na siebie uwagę Mallory. Na kółeczku umocowano z tuzin kluczy, jeśli nie więcej. Gdyby zaczął wypróbowywać jeden po drugim, dziecko świętowałoby w chwili uruchomienia samochodu swoje pierwsze urodziny. Mallory usiłowała skoncentrować uwagę na kluczykach. Wszystkie wydawały się jednakowe, a były to klucze od mieszkań, którymi zajmowała się jako pracownica agencji obrotu nieruchomościami. Przygryzła wargę, bo znowu nadchodził atak bólu, i wreszcie wskazała kluczyk od samochodu.

- To ten - powiedziała. - Ale pospiesz się, proszę!

Wiedziała, że zabrzmiało to jak błaganie i może rzeczywiście nim było. Każdego prosiłaby teraz o pomoc, byle tylko uwolnić się od cierpienia.

Jackson odczepił właściwy kluczyk od całego pęku w obawie, że w ostatniej chwili mógłby pomylić go z innymi i stracić cenny czas na bezowocne próby. Teraz naprawdę żałował, że nie pojawił się tu wcześniej, a dopiero teraz.

- Możesz wstać? - zapytał. Ujął Mallory za ramiona i podtrzymał.

- Nie... - odpowiedziała, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

Jackson nie czekał dłużej, tylko wziął ją na rękę. W tym momencie usłyszał, że ktoś otwiera drzwi.

Odwrócił się z Mallory w ramionach, by zobaczyć, że do biura weszła wysoka, zgrabna blondynka, która natychmiast do nich podbiegła.

Marlene Travis nie poznała Caina, ale w tej chwili ważna była jedynie Mallory.

- Dobrze się czujesz? - zwróciła się do przyjaciółki zaniepokojona.

- Nie, niedobrze, rodzi - wtrącił się Jackson, próbując wyminąć kobietę.

Marlene rzuciła się do drzwi i otworzyła je na oścież. Sama przeżyła coś podobnego trzy miesiące temu. Jej dziecko przyszło na świat w windzie w czasie okropnej burzy. Marlene obiecała sobie, że opowie tę historię małemu Robby'emu, kiedy ten podrośnie na tyle, by ją zrozumieć.

- Jak długie są przerwy między atakami bólu? - spytała, odprowadzając Mallory i Jacksona na parking.

- Wcale ich nie ma! - krzyknęła dziewczyna, czując, że znowu zaczyna się atak.

Jackson spostrzegł, że Mallory sztywnieje w jego objęciach.

- Boże - jęknął.

Pierwsze dziecko rodzi się we właściwym dla siebie czasie, pomyślała Marlene, ale jej przyszło na świat wcześniej. Teraz miała nadzieję, że Mallory zdąży dojechać do szpitala.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła przyjaciółkę z przekonaniem w głosie, byle tylko ją uspokoić. - Zadzwoń do szpitala i uprzedź, że już jedziesz. Zawiadomię o wszystkim doktor Pollack - dodała szybko. - Zadzwoń do niej. Jedźcie już, jedźcie - ponagliła i pobiegła z powrotem do biura.

Jedźcie? Co ona sobie myśli, że co on tu robi? Zabawia się? Do diabła, a tak naprawdę, co ja tu właściwie robię, zadał sobie pytanie Jackson. Gdzie jest ten Steven, kiedy go potrzebują? To przecież on powinien zajmować się teraz Mallory.

Nie był to jednak najlepszy moment, by o cokolwiek pytać. Trzymając Mallory na rękę, Jackson nacisnął klamkę samochodu. Otworzył drzwi i najostrożniej, jak potrafił, umieścił Mallory na siedzeniu dla pasażera. Najdziwniejsze myśli przemykały mu przez głowę, gdy okrążał pojazd, by zasiąść za kierownicą.

- Ciągłe zostawiasz auto nie zamknięte? - zapytał, wkładając kluczyk do stacyjki.

- Tak.

Mallory była osobą roztargnioną. Ale czy to najwłaściwszy czas, by ją za to karcnąć?

- Jedź! - zażądała, wijąc się z bólu.

Nie dało się zapiąć pasa wokół jej zaokrąglonej figury.

- Krew ciężko byłoby zmyć z tapicerki - zauważył Jackson i poluzował pas, wciskając metalowy języczek w odpowiednią szczelinę.

Czyż to nie jest zabawne? Takie opiekuńcze gesty z jego strony.

Przekreślił kluczyk w stacyjce i wcisnął pedał gazu.

- Jestem gotów do drogi, proszę pani - zażartował. Mallory miała ochotę zdzielić go czymś ciężkim, tylko sił jej zabrakło.

Jackson był przyzwyczajony do poruszania się motocyklem po najbardziej zatłoczonych ulicach. Samochód Mallory nadawał się do tego znacznie mniej, ale prowadził go tak samo sprawnie. Jadąc z maksymalną prędkością, dotarli do szpitala w ciągu pięciu minut.

Jackson popatrzył na Mallory i ogarnęła go litość zmieszana ze współczuciem. Dziewczyna zaciskała palce na torebce. Miała wykrzywione wargi i popielatą twarz.

- Chcesz, żebym w twoim imieniu zadzwonił do Stevena?

- Do kogo? - zamrugła powiekami, próbując zrozumieć, o czym mówi.

- Do Stevena, twojego przyjaciela - wyjaśnił, gdy ciągle nie odpowiadała.

Mówiąc to, poczuł gorz. Pomyślał, że przydałoby się duże, zimne piwo, które splukałoby ten nieprzyjemny smak, który czuł w ustach.

Steven, mężczyzna, którego wymyśliła. Niemal o nim zapomniała. Ostatni kwadrans trwał przecież całe wieki.

- Nie ma go - wymamrotała.

- Oczywiście - przytaknął.

Myśl, Mallory, myśl! Ale bardzo trudno zebrać myśli komuś, kto czuje się rozdzierany bólem na kawałki.

- Nie ma go tutaj, na wybrzeżu. Ja...

Mallory nie miała czasu na wyszukiwanie nowych kłamstw. Wszystko zablokował ból. Kiedy Jackson zatrzymał samochód przed wejściem do izby przyjęć, chwyciła go za rękę i zawołała:

- Zaczyna się! Och, zaczyna się!

Jackson niemal fizycznie odczuł jej stan bliski paniki. Wskoczył z auta, zanim do końca zaciągnął hamulec. Samochód jeszcze się toczył, gdy Jackson trzasnął drzwiami i błyskawicznie znalazł się przy Mallory.

- Zaraz ci pomogą - powiedział.

Ktoś ze szpitala mógłby się już pojawić, pomyślał. Mallory wymagała troskliwej opieki i powinna zaraz ją otrzymać, a on nie będzie już musiał czuć się tak okropnie.

Usłyszał dźwięk elektronicznie otwieranych drzwi. Po chwili pojawił się na biało ubrany sanitariusz z wózkiem i usunął Jacksona z drogi.

Kimkolwiek była blondynka z agencji nieruchomości, dotrzymała słowa i zawiadomiła szpital, pomyślał z ulgą.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, dodając otuchy Mallory.

Ból rozrastał się w niej jak chwasty po wiosennym deszczu. A teraz poczuła jeszcze przejmujący strach. Mallory bardzo się bała.

Czyjeś ręce przeniosły ją z samochodu na wózek. Mallory rozejrzała się, próbując odnaleźć jedyną twarz, której teraz potrzebowała.

- Jackson?

Na coś się przydałem, pomyślał. Przepchnął się pomiędzy sanitariuszami i pielęgniarką o skórze koloru kawy, by wziąć Mallory za rękę. Jej dłoń wydała mu się lodowato zimna.

- Jestem tu, Mai.

- Zostań ze mną - poprosiła.

Pewnie później będzie żałować tych słów. Ale później nie liczyło się wcale. Ważne było teraz. Pielęgniarka delikatnie rozłączyła ich dłonie. W tej chwili mogło to tylko przeszkadzać.

- Mąż będzie przy pani - obiecała rodzącej i spojrzała brązowymi oczami na Jacksona.

- No, chodź, tatusiu - zachęciła go z uśmiechem. - Czas zobaczyć efekty własnej roboty.

Mrugnęła porozumiewawczo i wzięła go pod ramię, dając znak sanitariuszom, by ruszyli z wózkiem. Jackson chciał zaprotestować, mówiąc, że to nie jego robota, ale wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Mallory, by zmienił zdanie. W pobliżu nie było tego właściwego faceta, a ona kogoś potrzebowała. Wyglądało na to, że to Jackson został wybrany.

- W porządku - zgodził się.

Szedł szybko obok sanitariuszy pchających wózek w kierunku szpitalnej windy.

Patrząc przed siebie, Mallory próbowała skoncentrować się na światłach migających nad głową, a nie na bólu, który przenikał ciało. Usiłowała myśleć o ponownym pojawieniu się w jej życiu Jacksona Caina. Rozpaczliwie pragnęła zająć uwagę czymkolwiek, byle tylko nie cierpieć, ale nic nie pomagało. Ból okazał się silniejszy.

W windzie zapalały się światełka wskazujące mijane piętra. To nie może się stać, pomyślała.

Dziecko wyraźnie chciało przyjść na świat w windzie, zupełnie jak synek Marlene.

- Rodzę! - krzyknęła, czując kolejny atak bólu.

- Tak, kochanie, wiem. - Twarz ciemnoskórej pielęgniarki na moment przesłoniła światło.

- Ale ja muszę przeć! - Mallory nie dawała za wygraną. - Naprawdę! Czy nikt tego nie rozumie?

Pielęgniarka wymieniła spojrzenie z sanitariuszem. Mallory nie widziała wyrazu ich twarzy, ale łatwo się domyśliła, co o niej sądzą. Byli pewni, że zwyczajnie histeryzuje, lecz tak nie było. Znała własne ciało. Czufa, że dziecko właśnie przychodzi na świat.

- Doktor Pollack jest w szpitalu. Robiła obchód, kiedy zadzwoniła pani przyjaciółka - powiedziała pielęgniarka. - Zbada panią i stwierdzi, kiedy zacznie się poród...

Mallory jak oszalała kręciła głową. Jej ciemne włosy rozsypały się po białym prześcieradle.

- Nie ma czasu na badanie! Dziecko właśnie się rodzi. Muszę przeć.

W windzie było ciasno. Jackson odsunął na bok siostrę, ujął Mallory za rękę i mocno uściśnął. Czy zawsze była taka słaba i bezbronna?

Popatrzył na nią. Niewiele wiedział o rodzeniu dzieci, ale instynktownie czuł, że Mallory nie powinna przejmować inicjatywy pod nieobecność lekarki.

- Posłuchaj mnie - zaczął powoli. - Musisz poczekać na panią doktor.

Typowy mężczyzna. Niczego nie rozumie, pomyślała Mallory.

- Sam czekaj. Ja nie mogę.

Drzwi windy otworzyły się i sanitariusze natychmiast wypchnęli wózek na korytarz. Jackson zacisnął palce wokół dłoni Mallory, chcąc wesprzeć ją w ten sposób.

- Musisz poczekać - powtórzył tonem nakazu, nie prośby. Nie chciał, by stało się jej coś złego.

- Lekarka przyjdzie za parę minut.

- Za późno. Muszę przeć teraz.

Mallory miała wrażenie, że wszystkie siły tego świata skoncentrowały się teraz w jej lędźwiach i przynaglają ją do wysiłku. Była zdana na ich łaskę, zupełnie bezsilna i musiała się im poddać.

- Oddychaj tak, jak cię uczono. - Pielęgniarka przejęła inicjatywę.

Odwróciła się do sanitariusza i w milczeniu dała mu znak, by pobiegl szukać doktor Pollack.

Sama popchnęła wózek w kierunku sal oddziału położniczego.

W pokoju stały dwa łóżka, obydwa puste. Wszystko wokół wydawało się jasne i świeże. Oprócz mnie, pomyślała Mallory.

Ścisnęła rękę Jacksona, krzyżąc:

- Ale ja muszę przeć...

- Oddychaj, nie myśl o tym - powiedział Jackson nakazujące

Czy zawsze musiała być tak uparta? Przecież wszyscy próbowali tylko jej pomóc.

- Oddychaj. Teraz!

Patrzyła mu w oczy. Nawiązała się między nimi jakaś nić porozumienia. Mallory zaczęła oddychać tak, jak uczono ją w szkole rodzenia. Na zajęcia chodziła sama, bo nie chciała nikogo prosić o towarzystwo. Zdecydowała się brać w tym udział, by być przygotowaną na wszystko. Lecz to, co teraz czuła, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Wydawało się, że niewidzialne ręce rozdierają ją na części, a ona nie może temu zapobiec. Mallory niejasno zdawała sobie sprawę, że ktoś coś do niej mówi. Jackson? Nie, to pielęgniarka. Kiedy ból nieco zelżał, przestała ciężko dyszeć i zaczęła słuchać.

- Kochanie, zaraz przeniesiemy cię na łóżko.

Siostra ustawiła wózek obok najbliższego posłania i stanęła przy jednym końcu, ponaglając Jacksona, by ustawił się po drugiej stronie. Zatrudniła również sanitariusza, który właśnie wrócił.

- Znalazłem! - oznajmił młody człowiek, wskazując na podążającą za nim lekarkę.

Jackson obejrzał się i zobaczył wysoką kobietę. Elegancko ułożone jasne włosy podkreślały zarys jej policzków, a długi biały fartuch rozwiewał się, gdy pospiesznie wchodziła do pokoju.

Nawet luźny strój nie dość maskował jej zaawansowaną ciążę. Jackson uświadomił sobie, że wpatruje się w panią doktor z otwartymi ustami, więc szybko je zamknął.

- Pani jest lekarką?

Mimo iż w pokoju panowało poruszenie, Sheila Pollack od razu poczuła na sobie wzrok zaskoczonego mężczyzny.

- Tak. Lekarki to też ludzie - wyjaśniła z uśmiechem. Od porodu dzielił ją jeszcze ponad miesiąc i zamierzała pracować do samego końca. Była silna, a poza tym kochała swoją pracę.

Intensywnie opiekowała się pacjentkami, szczególnie tymi ciężarnymi. Nawiązywała z nimi

bliską więź, potrafiła wczuć się w ich sytuację w sposób daleko wykraczający poza podręcznikowe instrukcje.

Sheila podeszła do Mallory i z serdecznością zwróciła się do młodej kobiety:

- Witaj, kochanie. Jesteś gotowa?

- Nawet bardzo - wydusiła z siebie Mallory.

- Przekonajmy się, jak to wygląda. Lekarka skinęła na pielęgniarkę i sanitariusza.

- Dlaczego nie zatrzymano pacjentki w izbie przyjęć, dopóki jej nie zbadam?

Oboje odsunęli się na bok, gdy Sheila wydobyła z apteczki parę gumowych rękawic i zgrabnie wsunęła je na ręce. Przez cały czas nie spuszczała oczu z Mallory.

- Osobiście rozmawiałam z Marlene. Mówiła, że jesteś gotowa do porodu - powiedziała lekarka. Z tego co tu widać, pomyślała, twoja przyjaciółka chyba się nie myliła.

- Tak, tak - Mallory z trudem wypowiadała słowa. Wydawało się jej, że już nigdy w życiu nie wymówi normalnie pełnego zdania.

Sheili wystarczyło jedno spojrzenie, by zorientować się w sytuacji. Okryła pacjentkę z powrotem prześcieradłem i zdjęła rękawiczki.

- Pełne rozwarcie do porodu - stwierdziła. - Natura zawsze okazuje się najlepszym sędzią w takich sprawach - dodała, wrzucając rękawiczki do pojemnika na odpadki. - Proszę zostawić ją na wózku - poinstruowała pielęgniarkę - i przewieźć na salę porodową. Zaraz przybędzie nam nowy podatnik - dodała i uściśnięła dłoń Mallory, dodając jej otuchy. - Nawet się nie spostrzeżesz, a już będzie po wszystkim. Zobaczymy się za pięć minut - obiecała.

Wychodząc z pokoju, Sheila spojrzała uważnie na Jacksona. Wyglądał, jakby wrósł w podłogę. Podczas jednego z wcześniejszych badań Mallory załamała się i opowiedziała lekarce swoją historię. Szlochała, starając się zachować godność, którą wyraźnie bardzo sobie ceniła, a potem wyciągnęła z torebki zdjęcie Jacksona i pokazała je Sheili.

W rzeczywistości był przystojniejszy niż na fotografii, uznała lekarka. Cieszyło ją, że ten mężczyzna wrócił na czas narodzin własnego dziecka. Na tyle znała swoją pacjentkę, iż wiedziała, że Mallory będzie się czuła znacznie lepiej, mając go obok siebie przy porodzie.

- Jeśli pójdzie pan ze mną, pokażę, gdzie będzie pan mógł się przebrać - rzekła.

- Przebrać? - powtórzył zdumiony.

Cofnął się, by zrobić miejsce wózkowi, na którym sanitariusz i pielęgniarka wieźli Mallory do sali porodowej.

- Przebrać się, by asystować przy porodzie - spokojnie wyjaśniła Sheila. - Staramy się utrzymać możliwie najwyższą sterylność otoczenia. Mamy bzika na tym punkcie.

Kiedy ciągle się nie poruszał, lekarka ujęła go pod ramię i wyprowadziła z pokoju.

Szatnia, w której przyszli ojcowie przebierali się w zielone, szpitalne fartuchy, znajdowała się obok sali porodowej. Przebieralnia dla lekarzy była po drugiej stronie.

Jackson czuł się nieswojo. Być z Mallory w izbie przyjęć, wspierając ją duchowo w zastępstwie mężczyzny, który powinien być się tam znajdować zamiast niego, to jedno. Ale zająć jego miejsce w sali porodowej, to zupełnie inna sprawa. Jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, że mogło to być jego dziecko i nie musiałby nikogo zastępować.

- Ale ja... - zaczął.

- Wróciłem na czas, prawda? - dokończyła lekarka, wprowadzając go do szatni.

Czuła, że jeszcze chwila, a byłby uciekł. Nie wywierałaby takiej presji, gdyby nie wymagała tego sytuacja.

- To tutaj - rzekła.

Jackson nie potrafił oprzeć się wrażeniu, iż czuje się jak rojalista prowadzony na gilotynę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nieraz opisywał w książkach takie sytuacje. Wydawało mu się, że wie, jak to jest. Ale teraz uświadomił sobie, iż wcześniej nie miał o tym zielonego pojęcia.

Nie był w stanie odgadnąć, co czuje człowiek, trzymając w ramionach dziecko, które właśnie się urodziło. By to wiedzieć, trzeba taką chwilę przeżyć.

Kiedy położna podała mu maleństwo, pomyślał, że dostał do rąk fragmencik przyszłości. To było właśnie to, a może nawet więcej. Nie potrafił opisać własnych uczuć. A przecież to nawet nie było jego dziecko. Lecz przez krótką chwilę mógł udawać i wierzyć, że Joshua należy do niego.

Jackson spojrział na Mallory. Spotkali się wzrokiem i przez chwilę wpatrywali się w siebie ponad główką małego. Ledwie zdążyli dotrzeć do sali porodowej, gdy było już po wszystkim. Ból, krzyk i zdumienie nie trwały dłużej niż mgnienie oka. W piętnaście minut po włożeniu zielonego fartucha Jackson trzymał w ramionach synka Mallory. Nawet nie miał możliwości jej pomóc. Dobrze się złożyło, bo ogarnęła go taka słabość, iż nie byłby w stanie tego zrobić. Nie tak dawno koledzy opowiadali mu o horrorach rodem z sal porodowych. Teraz Jackson czuł ulgę, że nic takiego się nie wydarzyło. Nie mógł znieść myśli, że Mallory musiałyby długo cierpieć.

Niemowlę zapłakało. Spojrział na małą, pomarszczoną buzię.

- Wygląda jak mój dziadek - zauważył ze śmiechem.

Bez trudu potrafił przywołać w pamięci obraz starszego pana. Widział go, jak siedzi przy śniadaniu, przeglądając poranne wiadomości giełdowe, i marszczy się przy tym tak okropnie, iż obserwujący go ośmiolatek zaczyna wierzyć, że głębokie bruzdy nigdy się nie wygładzą, choć potem jakoś znikają z twarzy dziadka.

Sheila zdjęła maskę z twarzy i uśmiechnęła się. Ostatnio przyjęła kilka długich, ciężkich porodów. Co za ulga, że ten odbył się tak łatwo.

- Mówiłam, że to będzie jeden z najszybszych porodów, jakie widziałam - zauważyła, zwracając się do Mallory. - Dobrze się spisałaś. - Radość błyszczała jej w oczach, gdy uściśnęła rękę dziewczyny.

Wygląda na dumnego ojca, pomyślała lekarka, przenosząc wzrok na Jacksona. Za nim stała położna i cierpliwie czekała, aż mężczyzna nacieszy się maleństwem.

Doktor Pollack łagodnie trąciła go łokciem. Jackson popatrzył na nią ze zdziwieniem. Zapomniał na moment, że poza nim i dzieckiem w pokoju są inni ludzie.

- Myślę, że musimy umyć młodego człowieka. Powinien prezentować się elegancko, gdy dołączy do grona rówieśników.

Lekarka spostrzegła, że Mallory wyciąga rękę, chcąc dotknąć maleńkiej stopki, która wystawała spod ramienia Jacksona.

- Nie obawiaj się - Sheila uspokoiła młodą matkę. - Mały zaraz do ciebie wróci.

Mallory tylko skinęła głową. Była zbyt wyczerpana i podniecona, by cokolwiek powiedzieć.

Czuła w sobie masę sprzecznych uczuć. Od dziś miała syna. Więcej, udało się jej zobaczyć Jacksona z dzieckiem w ramionach. Nigdy nie przypuszczała, że to może się zdarzyć.

Zwilgotniały jej rzęsy. Nie wiedziała, czy to łzy, czy pot. Czuła się przytłoczona wszystkim, co zaszło.

- Jest taki maleńki - zauważył Jackson, kiedy pielęgniarka zabierała Joshuę.

Wydawało mu się, że dziecko prawie nic nie waży. Małe ciało niknęło w jego ramionach.

- Szybko urośnie - zapewniła Sheila.

Niemowlę zapłakało, gdy pielęgniarka wynosiła je z sali.

- Kaprysi. Pewnie będziesz miała z nim pełne ręce roboty - roześmiała się lekarka, gdy za niosącą malucha pielęgniarką zamknęły się drzwi.

Spojrzała na tarczę ściennego zegara. Dochodziła druga. Czas na krótki lunch i pisanie dziennych raportów.

- No dobrze, mam jeszcze inne ciężarne pod opieką. - Sheila podeszła do Mallory. - Chciałabym, żeby wszystkie poradziły sobie tak znakomicie jak ty - rzekła i skinęła na drugą pielęgniarkę gotową do przewiezienia pacjentki na salę poporodową. - Zajrzę do ciebie wieczorem - obiecała. Jackson przytrzymał drzwi, by siostra mogła wyprowadzić wózek z leżącą na nim Mallory. I co teraz? Szedł za nimi, mając chęć wziąć Mallory za rękę, być blisko niej w tym niezwykłym momencie, ale powstrzymał się. Przecież nie jemu wypadało dzielić z młodą matką taką chwilę. Powinien to zrobić ktoś inny.

Spotkali się wzrokiem i Jackson wypowiedział pierwsze słowa, które przyszły mu do głowy:

- Lekarka myśli, że mały jest mój.

Mallory była zbyt wyczerpana, by zastanawiać się nad sytuacją i wymyślać nowe kłamstwa.

- Zwyczajnie się pomyliła - mruknęła.

Mąciło się jej w głowie. Wszystko było pomyłką, pomyślała. Miłość do Jacksona to błąd... Nie, jednak nie. Miała syna, ślicznego, maleńkiego synka, i cokolwiek by sądzić

O jego poczęciu, nigdy nie nazwie błędem pojawienia się dziecka w jej życiu. Nie czekając na odpowiedź Jacksona, usnęła.

Stał przed zamkniętymi drzwiami. Za nimi znajdowała się Mallory wypoczywająca po porodzie.

Pielęgniarka zapewniła go, że pacjentka pozostanie w tym pokoju co najmniej przez godzinę.

Obowiązki Jacksona wyraźnie dobiegły końca. Mógł odejść, ale nie zrobił tego.

Nie było żadnego racjonalnego powodu, by zostawać, a jednak został. Wbił ręce w kieszenie dzinsów i skierował się do windy. Nie wiedział, jak poradzić sobie z uczuciami, które nim owładnęły. Do tej pory nawet nie załatwił sobie hotelu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie do Newport Beach, było spotkanie z Mallory. A kiedy ją zobaczył, wszystko wywróciło się do góry nogami.

Uśmiechnął się do siebie, naciskając guzik windy. Ta dziewczyna zawsze wpływała tak na jego życie. Lubił towarzystwo pięknych kobiet. Właśnie towarzystwo, nic więcej. Miły wspólny wieczór, czasem weekend. To wszystko. Nigdy nie miał zamiaru wiązać się na stałe. Nie dla niego były monogamiczne związki. Nie chciał pograżać się w obłudzie i przez całe życie udawać, że coś, co kiedyś było udanym małżeństwem, po jakimś czasie okazuje się związkiem obcych sobie ludzi. Obłuda była dobra dla jego rodziców, lecz Jackson nie chciał podążać ich śladem.

Kiedy spotkał Mallory, wszystkie jego postanowienia wzięły w łeb. A gdy dla własnego dobra zmusił się, by ją porzucić, mógł sobie szczerze gratulować, że wyszedł cało z opresji. Tylko czy aby na pewno? To zwycięstwo nad samym sobą zostawiło w nim jakąś pustkę.

Pomyślał, że musi się czegoś napić, i poszedł do kawiarenki w podziemiach szpitala.

Zafundował sobie dużą kawę i ciastko. Usiadł przy stoliku w kącie sali. Chciał być sam, by przemyśleć pewne sprawy.

Wypił jeszcze dwie kawy, zostawiając ciastko nietknięte, lecz ciągle nie mógł opanować miotających nim sprzecznych uczuć. Po raz pierwszy w życiu musiał stawić czoło tym aspektom rzeczywistości, którymi dawniej się nie przejmował. Uzmysłował sobie, że jest zazdrosny o Stevena. Zazdrość wzmagła się coraz bardziej, a on nie miał pojęcia, jak temu zaradzić. Trzy potężne porcje kofeiny, które wchłonął, w niczym mu nie pomogły.

To była moja wina, pomyślał i odsunął ciastko. Gwałtownie wstał od stolika. Nie mógł oczekiwać, że Mallory będzie żyć samotnie i usychać z tęsknoty za nim jak romantyczna nastolatka. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak zareagowałaby Mallory, gdyby jej o tym powiedział. Nie przypominała usychającego fiołka. Przeciwnie, była pełną życia, piękną kobietą, która umiała cieszyć się życiem.

Ale czy musiała skorzystać z tego tak szybko, myślał ponuro, kierując się do windy. Nacisnął guzik pierwszego piętra.

Spała. Gdy umysł zaczął się jej stopniowo rozjaśniać, Mallory zorientowała się, że musiała na chwilę zasnąć. Całe ciało miała obolałe. Czy czeka ją poród? Nie, to przecież ma już za sobą, prawda?

A może to był tylko sen? Dziecko, powrót Jacksona? Zanim otworzyła oczy, dotknęła ręką brzucha, by przekonać się, że jest znacznie bardziej płaski. Urodziła dziecko. To nie był sen. Uświadomiła sobie, co się wydarzyło, i poczuła niepokój. Czy mały jest tutaj, w pokoju? Czy położyli go w wózek obok jej łóżka? Mallory zmusiła się, by otworzyć oczy. Z wysiłkiem rozejrzała się wokoło. Wiedziała, że powinna znajdować się w szpitalu, lecz pomieszczenie wydawało się zbyt duże i urządzone po domowemu. Czuli się zupełnie zdezorientowani. Gdzie jest? Jak długo spała? Zakłopotana wsparła się na łokciach i spróbowała usiąść. Wtedy poczuła na ramieniu czyjś dotyk.

- Spokojnie, nie męcz się.

Serce zabiło jej mocno. To nie był sen.

- Jackson - szepnęła, zwracając głowę ku stojącemu obok łóżka mężczyźnie.

- Tak, to ja - potwierdził i z uśmiechem wziął ją za rękę. Mallory ciągle była blada. Czy to normalne?

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Kręci mi się w głowie - odrzekła i pomyślała, że to głównie dlatego, iż Jackson trzyma ją za rękę, więc uwolniła ją z uścisku. - Gdzie ja jestem?

Jackson przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Siedział na nim już od pół godziny, patrząc na śpiącą Mallory i próbując znaleźć odpowiedzi na dręczące pytania.

- W szpitalu - wyjaśnił.

- Ten pokój...

Pokój był o klasę lepszy od wszystkich innych na tym piętrze, ale powinien być właśnie taki, jeśli wziąć pod uwagę sumę, którą Jackson Cain za niego zapłacił.

- Chciałem, żebyś miała lepsze warunki - rzekł z uśmiechem. - Wszystko zostało uregulowane. Uznajmy to za mój prezent urodzinowy dla dziecka. Sądziłem, że może będziesz chciała pobyć sama z małym.

Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić, pomyślał.

Mallory nie miała chęci zaciągać zobowiązań wobec Jacksona, lecz widać los zdecydował inaczej. W końcu ten mężczyzna dał jej syna, którego zamierzała kochać całym sercem.

- To miło z twojej strony - powiedziała.

Westchnęła i przesunęła ręką po włosach. Pewnie wyglądała jak czupiradło. Przypomniała sobie z zakłopotaniem, że Jackson był obecny również przy porodzie, ale zaraz spróbowała spojrzeć na to z innej strony. Potrzebowała czyjejś obecności, więc dlatego został.

- Naprawdę nie musiałeś towarzyszyć mi na sali porodowej. Dziękuję - rzekła, patrząc mu w oczy.

Wzruszył ramionami. Nie potrafił przyjmować wyrazów wdzięczności.

- Nie miałem wyboru - zauważył. - Właściwie zapędziła mnie tam twoja lekarka. Zawsze jest taka stanowcza?

Nie ma sensu przypisywać mu szlachetnych uczuć, pomyślała Mallory i odwróciła wzrok, starając się nie patrzeć na Jacksona.

- Wobec mnie taka nie jest - odrzekła. - Pomyłkowo wzięła cię za ojca i pewnie myślała, że potrzebujesz odrobiny zachęty.

Mallory miała nadzieję, iż Sheila nie podzieliła się z Jacksonem swoją wiedzą o historii jej ciąży. Oszołomienie, załamanie stanem, w którym znalazła się po odejściu kochanka, wszystko to wróciło teraz we wspomnieniach. Swoją historię opowiedziała doktor Pollack w chwili słabości. Choć każdy zwracał się do Mallory po radę, gdy potrzebował pomocy, ona sama była z natury osobą zamkniętą i nie przywykła rozmawiać z nikim o swoich sprawach osobistych. Ale wtedy wiadomość o ciąży, którą otrzymała tuż po nagłym wyjeździe Jacksona, zaskoczyła ją nie przygotowaną, bezbronną.

Mallory nie chciała, by Jackson dowiedział się, że Joshua jest jego synem. Postanowiła, iż mu o tym nie powie. Poza tym nie życzyła sobie, by ojciec jej dziecka czuł się zobligowany do płacenia alimentów. Nie chciała, by ofiarowywał jej cokolwiek pod przymusem.

Odchodząc, jasno dał do zrozumienia, że nie jest typem człowieka, który by się angażował w trwałe związki. Nawet gdyby dowiedział się o swoim ojcostwie, pewnie nie zmieniłby trybu życia charakterystycznego dla członka artystycznej bohemy. Był dobrze sytuowany i mógłby łożyć na utrzymanie chłopca. Nawet bez dochodów z honorariów za bestsellery należał do ludzi zamożnych.

Wszystko to nie miało znaczenia. Mallory nie chciała jego pieniędzy. Bez problemu mogła samodzielnie utrzymać siebie i dziecko. Od Jacksona pragnęła odrobiny serca, ale tego akurat nie zamierzał jej ofiarowywać. Nigdy nie myślał o małżeństwie. Zbyt sobie cenił wolność. Jacksonowi wydawało się, że w kawiarni uporał się już z zazdrością, ale teraz znowu zaczęło go ogarniać to okropne uczucie. Z trudem zdusił je w sobie.

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie teraz przebywa ojciec twojego dziecka? Nasza wcześniejsza rozmowa na ten temat została dość gwałtownie przerwana.

- Czemu się tym interesujesz? - spytała niespokojnie.

Jackson na własny sposób zinterpretował jej powściągliwość w udzielaniu odpowiedzi. Uznał, że Mallory obawia się, by nie zrobił krzywdy jej przyjacielowi.

- Nie martw się. Nie zamierzam skrzywdzić Stevena - zapewnił. - Po prostu myślałem, że chciałabyś go zawiadomić, iż został ojcem - rzekł i spojrzał na telefon stojący obok łóżka. - Mógłbym zadzwonić do niego w twoim imieniu.

W drodze do szpitala Mallory myślała, że Jackson będzie choć odrobinę zazdrosny o mężczyznę, którego na poczekaniu wymyśliła. Teraz zdała sobie sprawę, że było to wyłącznie pobożne życzenie. Ten człowiek wyraźnie sprzyjał jej wyimaginowanemu związkowi z innym partnerem. Wcale o nią nie dbał, uprzytomniła sobie z goryczą.

- Oczywiście, że chciałabym się z nim skontaktować - powiedziała z oburzeniem w głosie - ale nie możesz do niego zadzwonić.

Umysł Mallory pracował gorączkowo nad wyszukaniem wiarygodnego wytłumaczenia. Przyszła jej na myśl Urszula. Urszula Sanchez, z którą pracowała w agencji. Wczoraj podczas lunchu Mallory starała się ją pocieszyć. Mąż Urszuli wyjechał właśnie w daleką podróż służbową i nie było żadnej możliwości, by się z nim skontaktować.

- Tam nie ma telefonów - oznajmiła triumfalnie.

- Gdzie mianowicie? - Jackson wyraźnie jej nie dowierzał.

- Na Alasce.

Mallory miała nadzieję, że nie będzie musiała podawać dokładniejszych informacji, bo nie pamiętała, o jakim miejscu wspomniała Urszula.

- Ostatnio, jak słyszałem, Alaska bardzo się ucywilizowała - zauważył Jackson. - Od jakiegoś czasu mają sieć telefoniczną.

- Nie tam, gdzie jest Steven - odrzekła Mallory. Jackson przyjrzał się jej uważnie. Coś mu tu nie pasowało.

A może tylko odniósł takie wrażenie, bo w duchu pragnął, by cała historia okazała się nieprawdziwa.

- Z czego żyje ten twój Steven?

- Jest inżynierem, nafcierzem - odpowiedziała Mallory i obawiając się dalszych pytań, natychmiast przeszła do kontrofensywy. - Po co to całe śledztwo?

- Po prostu jestem ciekaw - rzekł trochę zanadto obojętnym tonem.

- Steven nie zajął twojego miejsca. Sam je zwolniłeś, pamiętasz? - spytała z goryczą. - O ile wiem, bardzo się z tym spieszyłeś.

Miała całkowitą rację, ale Jackson wcale nie pragnął o tym dyskutować.

- Nie zajmujmy się tym, co było. Po prostu staram się na coś przydać - wyjaśnił łagodnie, próbując ukryć dręczącą go zazdrość. - Jesteś pewna, że nie mógłbym odnaleźć Stevena?

- Tak - odrzekła stanowczo.

Jackson nic nie mógł poradzić na to, że nie darzy sympatią mężczyzny, który zajął jego miejsce przy Mallory. Ta niechęć nie miała żadnych racjonalnych przyczyn, ale istniała. Nie zwykł żałować. Niczego, co zrobił, lecz tym razem szczerze żałował swojej decyzji.

- Mieszkacie razem? - spytał cicho.

- Nie. Tak. Coś w tym rodzaju.

Pytanie Jacksona zaskoczyło Mallory. Nachmurzona, próbowała szybko wymyślić jakąś historię. Boże, ależ to było męczące. Dlaczego on po prostu nie pójdzie sobie i nie zostawi jej w spokoju?

- Zawsze. lubiłem takie niejednoznaczne sytuacje - odrzekł Jackson i uśmiechnął się do Mallory. Cała sprawa wydawała mu się coraz bardziej podejrzana. Wyraźnie się ze mnie naśmiewa, pomyślała Mallory. Do diabła z nim!

- Jestem trochę zamroczona. Przypominam ci, że właśnie urodziłam dziecko i nie miałam okazji wydobrać na czas śledztwa.

Jackson ujął rękę Mallory, lecz szybko ją wyrwał.

- Na tym polega skuteczność śledztwa - wyjaśnił. - Nie możesz być do niego przygotowana.

Chodzi o spontaniczność.

- W porządku, w takim razie i ja zadam ci pytanie - rzekła.

- Strzelaj - powiedział Jackson, znacznie bardziej zadowolony z siebie, niżby sobie tego Mallory życzyła.

Nie nadużywaj mojej cierpliwości, pomyślała.

- Dlaczego właściwie wróciłeś? I czemu właśnie teraz, po tak długiej nieobecności?

Pragnął wyznać, że to ze względu na nią. Chciał tak zrobić, zanim zorientował się, że Mallory należy do innego. Jako mężczyzna miał swoją dumę i nie zamierzał rezygnować z niej nawet za cenę popełnienia ogromnego błędu.

- Zbieram materiały do następnej książki, której akcja toczy się na wybrzeżu. Kiedy zacząłem robić wstępne notatki, okazało się, że mam pewne luki w pamięci - wyjaśnił, zakładając, że w taką historię Mallory będzie skłonna uwierzyć, a poza tym w przytoczonej wersji tkwiła część prawdy.

- Jestem pewna, że z łatwością wypełnisz wszystkie luki. Roześmiał się, mile zaskoczony jej odpowiedzią. Mallory znów była sobą, kobietą, w której się zakochał.

- Być może. W każdym razie potrzebuję jakiegoś locum - zauważył i natychmiast postanowił wykorzystać nadarzącą się sposobność. - Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym zatrzymał się u ciebie?

Spojrzała na niego zdumiona. Powiedział: „potrzebuję”? Człowiek, którego stać na kupno własnego hotelu, gdyby tego zapragnął, potrzebuje mieszkania? Nagle przypomniała sobie, że Jackson nienawidzi atmosfery, którą stwarzały hotele. Ale to jeszcze nie powód, by przyjmować go pod swój dach.

- Owszem, miałabym... - odrzekła.

Co on sobie myśli? Ze będzie mógł tak po prostu wkroczyć w jej życie? Przecież powiedziała, że pozostaje w związku z kimś innym. Wiedział, że urodziła dziecko innego mężczyzny. Chyba przecenił własny urok, jeśli sądził, że mu ulegnie.

Jackson uniósł rękę, chcąc dojść do słowa.

- Posłuchaj. Przecież to zrozumiałe, że teraz będziesz potrzebowała pomocy przy dziecku...

- Od kiedy to jesteś specjalistą w opiekowaniu się niemowlętami?

- Wszystkiego można się nauczyć - odparł, spoglądając na nią niewinnym wzrokiem. - Dwie niedoświadczone osoby lepiej sobie poradzą niż jedna. Czasem będziesz chciała trochę pospać rano.

Trafił w dziesiątkę. Mallory nie znosiła rannego wstawania. Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie karmiącego dziecko piersią.

- Coś się wymyśli. - Jackson nie tracił rezonu. Zrobił efektowną pauzę, a potem dodał z uśmiechem:

- Oczywiście jeśli nie pojawi się Steven i nie uzna, że właśnie w tym tygodniu przyszła jego kolej na mieszkanie z tobą.

Zmrużyła oczy. Nie lubiła, gdy z niej drwił. Choć nie wiedziała, na jak długo Jackson zamierza zatrzymać się w Newport, postanowiła dalej pleść cieniutką sieć intrygi z zamiarem rozwinięcia jej w późniejszym terminie.

- Nie wróci w ciągu najbliższych trzech tygodni - powiedziała zakładając, iż jest to wystarczająco długi okres i nim upłynie, Jacksonowi znudzi się pobyt na wybrzeżu.

Cóż za drań z tego Stevena! Jak Mallory mogła kochać mężczyznę, który do tego stopnia o nią nie dbał, że opuścił ją tuż przed terminem porodu? Jackson nie zastanawiał się nad tym, że oskarża tego człowieka o łamanie zasad, których sam nie przestrzegał.

- Zostawił cię na tak długo tuż przed rozwiązaniem? Złapana w pułapkę, Mallory postanowiła ująć się za wymyślonym przez siebie kochankiem.

- Nie miał wyboru, a poza tym spodziewałam się dziecka w końcu marca, a nie na początku - powiedziała i znacząco spojrzała na Jacksona. - Pewnie urodziłabym małego w terminie, gdyby nie twoje pojawienie się w Newport.

Te słowa ukłuły go boleśniej, niż mógłby przypuszczać.

- Ach, więc to moja wina?

- Tak. Stres często przyspiesza poród.

- A ja go spowodowałem, tak?

Uświadomiła sobie, że mu dopiekła do żywego. Więc czemu nie sprawiało jej to przyjemności? Przecież powinno.

- Tak - odrzekła cicho.

Na końcu języka miał replikę zrodzoną z gniewu oraz frustracji, lecz zrezygnował z niej i skinął głową.

- Może masz rację. Jeśli tak było, przepraszam.

Ujął ją za rękę. Nadszedł czas, by się pożegnać. I tak siedział tu za długo.

- Cieszę się, że z dzieckiem wszystko w porządku -dodał.

Odwroty zawsze były jego mocną stroną. Uciekał, ilekroć sytuacja stawała się zbyt napięta lub niewygodna. Tym razem uznał ją za trudną. Pochylił się nad łóżkiem Mallory i musnął jej usta.

Ogarnęło go pożądanie. Przedłużył pocałunek, pragnąc, by trwał wiecznie. Poczuł na twarzy oddech Mallory, który uprzytomnił mu, co stracił.

Boże, jak on za nią tęsknił!

- Powiedz temu swojemu Stevenowi, że jeśli nie będzie cię dobrze traktował, osobiście się nim zajmę.

Jeszcze raz obrzucił Mallory czułym spojrzeniem. Spostrzegł, że załśniły jej oczy.

- Płaczesz?

Płakała, lecz wcale nie miała zamiaru się do tego przyznać.

- To alergią - wymamrotała, pociągając nosem.

O ile wiedział, nie miała żadnej alergii. Skinął głową, udając, że jej uwierzył.

- Poproś o jakiś lek w związku z tym - rzekł i odwrócił się, by wyjść z pokoju.

Ależ jestem głupia, strasznie głupia, pomyślała Mallory.

W spojrzeniach Jacksona było coś, co jak cierń utkwilo jej w sercu. Sprawy, których dotąd była pewna, wcale nie okazały się oczywiste. Jackson Cain pozostał jedynym mężczyzną, którego kochała.

Przygryzła wargę, poczuła smak jego ust i zaczęła się zastanawiać. To nie w porządku, iż żywiła takie uczucia wobec mężczyzny, który ją porzucił. Nie opuszczała jej pewna myśl. Czemu by nie zmusić tego człowieka, żeby zaczął żałować wszystkiego, co zrobił? A potem usunąć się z jego życia. To być może czegoś pożytecznego go nauczy, uznała.

- Jackson! - zawołała. Zatrzymał się w progu.

- Tak?

- Możesz zamieszkać u mnie. Przez parę dni - dodała szybko. Gdyby w jej głosie nie było rezygnacji, mógłby zacząć coś podejrzewać.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

- Tak.

Kiedy popatrzył jej w oczy, poczuła przyspieszone bicie serca.

- Jestem pewna - odrzekła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie sprzeczasz się ze mną, Urszulo, tylko zrób, o co proszę, dobrze?

Mallory nie miała zbyt wiele czasu. Za chwilę powinien pojawić się Jackson, by zabrać ją do domu. Lekarka już godzinę temu wydała polecenie wypisania jej ze szpitala.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza, jak gdyby Urszula próbowała przeniknąć ukryte znaczenie próśb przyjaciółki.

- Pozwól, że powtórzę. Chcesz, żebym kupiła cztery męskie koszule z długimi rękawami i cztery pary męskiej bielizny.

- Tak - potwierdziła Mallory, wpatrując się w drzwi. - Albo nie, kup sześć.

Tak było lepiej. W końcu Steven nie musiał z nią mieszkać. Mógł od czasu do czasu spędzać noc w jej mieszkaniu, a to oznaczało, iż powinien mieć tam jakieś rzeczy.

Oszołomiona Urszula dopytywała się o szczegóły.

- Mają być w jakimś określonym kolorze czy rozmiarze?

- Nie wiem. Wybierz to, co uznasz za stosowne - zaproponowała, hamując irytację. W końcu to nie Urszula była winna temu, co się zdarzyło. - Takie rzeczy, jakie kupujesz mężowi.

W słuchawce rozległ się chichot.

- Myślę, że coś z tobą nie jest w porządku. Najpierw postaraj się o męża, a potem będziesz się troszczyć o jego garderobę.

Mallory puściła uwagę Urszuli mimo uszu. Należało się spieszyć. Nie potrzebowała teraz pouczeń, lecz szybkiego wykonania zleconego zadania.

- Potrzebuję tych rzeczy, by przekonać kogoś, że w moim życiu istnieje mężczyzna.

Urszula przestała cokolwiek rozumieć. Przecież Mallory nigdy nie przywiązywała wagi do konwencjonalnych zachowań.

- Myślę, że dziecko jest na to lepszym dowodem niż męska bielizna w szafie - zauważyła.

- Tego mężczyzny, o którym myślę, to nie przekona. - Mallory bezwiednie potrząsnęła głową. -

Muszę mu przedstawić więcej argumentów.

Należało upewnić Jacksona, że **Steven** istnieje i jest ojcem dziecka. W przeciwnym razie dojdzie do logicznego wniosku, iż Joshua jest jego synem, a to byłaby katastrofa.

- Naprawdę potrzebuję twojej pomocy i to zaraz. Zrób to, o co proszę, dobrze?

Urszula westchnęła, dając do zrozumienia, iż cała sprawa budzi wiele wątpliwości.

- W porządku - zgodziła się wreszcie. - Ale jak mam się dostać do twojego mieszkania?

Rozumiem, że powinnam to zrobić, zanim wrócisz ze szpitala.

- Dokładnie tak. Masz na to nie więcej niż godzinę. Wybacz, ale to bardzo ważne - dodała Mallory, słysząc jęk koleżanki.

Całą tę mistyfikację wymyśliła parę minut temu. Im więcej amunicji będzie w zapasie, tym lepiej. Jeśli Jackson nie zauważy żadnych śladów mężczyzny w mieszkaniu, może stać się podejrzliwy i zadawać pytania. A jeśli je zauważy i poczuje zazdrość, należy się tylko cieszyć.

- Zapasowe klucze do mieszkania są w agencji i leżą w środkowej szufladzie biurka, tam, gdzie chowam spinacze- wyjaśniła.

Na chwilę zapadła cisza. Najwyraźniej Urszula zaczęła poszukiwania.

- Mam je. Nikomu nie przysłoby do głowy, żeby tu zaglądać - oznajmiła. - Czy kupić także gatki? - upewniała się.

- Dobra myśl. Kup kilka par. Zwrócę ci pieniądze, jak się tylko zobaczymy. Obiecuję - rzekła, lecz natychmiast pomyślała, że wymaga od przyjaciółki zbyt wiele, więc dodała:

- Albo wyślę ci czek. Tak będzie szybciej.

- Nie martwię się pieniędzmi, ale tobą - powiedziała Urszula. - Nie za dużo środków przeciwbólowych podano ci w szpitalu?

Mallory pomyślała, że to raczej sprawka Jacksona, a nie proszków. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego oczy, by wróciły dawne uczucia. Nie mogła dopuścić, by nią zawładnął. Tym razem musi mu odplącić pięknym za nadobne.

- Raczej za mało - odpowiedziała i spojrzała na zegarek.

- Pospiesz się! Po południu wracam do domu i do tego czasu męska garderoba musi się znaleźć w mojej szafie.

- Chcesz, żebym te rzeczy pochowała?

- Oczywiście. W tym cała rzecz. Przecież nie chodzi o to, by, kiedy przyjdzie, zobaczył je w opakowaniach. Domyśli się, że ktoś to kupił.

Osłabiona uwaga Urszuli otrzymała nowy bodziec.

- On?

Nie było czasu na zgłębianie tematu, a ponadto Mallory nie miała ochoty niczego wyjaśniać.

- Nieważne. To długa historia.

Urszula kolekcjonowała ludzkie historie jak inni czasopisma.

- Podczas lunchu... - zaczęła.

Mallory nie była w nastroju do zaspokajania ciekawości przyjaciółki.

- Wspaniale. Rozumiem, że się pospieszysz i kupisz te rzeczy - ucięła.

W słuchawce rozległo się pełne rozczarowania westchnienie.

- Cześć, Mallory. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Ja też - mruknęła dziewczyna.

Zabrakło czasu na rozważania, czy aby nie popełnia głupstwa, wdając się w tę intrygę. Gdy kończyła rozmowę, do pokoju wszedł Jackson. Na jego widok słuchawka wyśliznęła się Mallory z dłoni i z trzaskiem uderzyła o aparat.

- Jak się masz. - Jackson z przyjemnością odnotował fakt, iż rekonwalescentka wpatruje się w bukiet herbacianych róż, który przyniósł, oraz zerka ze zdumieniem na pluszowego niedźwiadka, sterczącego mu spod pachy.

Mallory patrzyła na niego zdziwiona, a potem, ku zdumieniu Jacksona, roześmiała się. Jej śmiech poruszył go do tego stopnia, że zanim zorientował się, co robi, pochylił głowę i musnął wargami jej usta. Odniósł wrażenie, że tylko on pragnął dłuższego pocałunku.

- Z czego się śmiejesz?

Przestała się śmiać, gdy tylko dotknął jej warg. Pocałunek obudził zbyt wiele wspomnień i emocji.

- Nigdy nie widziałam cię z pluszowym misiem pod pachą - zauważyła i powędrowała wzrokiem ku różom. - Ani z bukietem w ręku.

Jackson nigdy nie przynosił jej kwiatów. To jakoś nie pasowało do jego wizerunku.

Tylko przelotnie dotknął jej warg, a ciągle czuł na ustach ich smak. To przypomniało mu przeszłość. Oczami wyobraźni zobaczył ją nagą w swoim łóżku. W blasku świec skóra Mallory połyskiwała złotem. Była taka ciepła i miękka pod dotykiem dłoni.

Zamrugał powiekami, odpędzając wspomnienie. Wiedział, że odeszło na moment i tylko czeka, by znowu go niepokoić.

- Może się zmieniłem - zauważył.

- Może.

By tego dowieść, potrzebne było coś więcej niż tylko kwiaty. Znacznie więcej. Nie było sensu wierzyć w rzeczy niemożliwe. Po co się torturować?

- Możesz wybrać. Co wolisz: kwiaty czy niedźwiadka? Mallory wzięła bukiet.

- Lepiej będzie, gdy Joshua weźmie miśka, bo mógłby zechcieć ssać róże.

Zauważyła z radością, że chłopczyk miał znakomicie wyrobiony instynkt ssania. Bez wahania przytulił się do jej piersi w czasie karmienia.

- Pamiętałeś? Czy to przypadek? - zapytała.

Zawsze lubiła zapach róż. Wciągnęła powietrze, sycąc się ich aromatem.

Jackson posadził miśka w rogu wózcza.

- To nie przypadek - odrzekł.

Inaczej niż z Joshua, pomyślała. Lecz jeśli to dziecko pojawiło się w jej życiu przez przypadek, to z pewnością powinna być za to wdzięczna losowi.

Coś wyjątkowego musiało pojawić się w jej oczach, bo Jackson spojrzął na nią badawczo.

- Co takiego? - spytał.

O nie, nie dowiesz się tak łatwo, pomyślała. Nie miała zamiaru ujawniać swego sekretu.

- Nic. Po prostu o czymś pomyślałam.

Widząc, jak Mallory wygładza spódnice na biodrach, Jackson z trudnością mógł skupić myśli.

Jej nogi rzucały mężczyzn na kolana.

- O czym?

Spojrziała na wózek. Misiek był większy niż Joshua. Ale już niebawem ten malec będzie biegał i psocił.

- O tym, jaka to wielka odpowiedzialność mieć syna. Podniosła się i podeszła do dziecka.

Delikatnie otuliła je kocykiem.

- Mam zamiar zrobić wszystko, by właściwie wychować Josha i od samego początku uczyć go, żeby do kobiet odnosił się z szacunkiem.

Jackson stanął tuż za nią. Zastanawiał się, czy świadomie to powiedziała, chcąc mu dopiec. Bo jeśli tak, to osiągnęła swój cel.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Pewnie nie chciałybyś, żebym udzielał mu jakichś wskazówek.

Mallory przymknęła oczy, próbując uodpornić się na fakt obecności Jacksona Caina w tym pokoju. Z wysiłkiem zmusiła się do uśmiechu. Nie było sensu dawać mu do zrozumienia, jak bardzo czuła się zraniona. Nic by to nie zmieniło, nawet gdyby Jackson poznał prawdę. Pewne sprawy lepiej przemilczeć.

- Nie wcześniej, aż przekroczy trzydziestkę - odparła. Jackson przesunął dłońmi po jej ramionach, wracając w myślach do przeszłości.

- Tęskniłem za tobą - powiedział cicho.

Wcale nie tęskniłeś, pomyślała. Gdyby tak było, wróciłbyś znacznie wcześniej.

Zamarła w bezruchu, czując jego dotknięcie. Cofnęła się i odwróciła, by spojrzeć mu w oczy.

Miała nieprzenikniony wyraz twarzy, lecz wzrokiem nakazywała Jacksonowi zachowanie dystansu.

- Przestań! Jeśli chcesz u mnie mieszkać przez kilka dni, proszę bardzo, ale pod pewnymi warunkami.

Wyciągnęła rękę, osłaniając się przed możliwym dotknięciem Jacksona.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - powiedziała.

- Byliśmy czymś więcej - odrzekł, patrząc jej w oczy. To prawda, ale zniszczył to, odchodząc.

- Teraz jest inaczej. Mam dziecko i... - zawahała się przez moment - ..zupełnie inne życie - dokończyła. - Chcę, byś dał słowo, że będziesz się przyzwocić zachowywał.

Wszystko zależy od tego, co przez to rozumiesz, pomyślał Jackson. Coś jeszcze tliło się między nimi. Gdyby tak nie było, Mallory nie zgodziłaby się, żeby z nią został. I nie patrzyłaby na niego tak jak w tym momencie.

Pochylił głowę i wyciągnął rękę do Mallory.

- Będę zachowywał się przyzwocię - obiecał.

Z wahaniem podała mu dłoń, zastanawiając się, czy aby na pewno wie, na co się zgodziła.

- Dlaczego ja ci nie wierzę? - spytała.

- Jesteś zbyt ostrożna - podsunął.

- Albo łatwowierna - odparowała.

Zanim zdążyła go powstrzymać, dotknął jej policzka, a potem nagle cofnął rękę.

- Nigdy nie byłaś łatwowierna.

Och, jeszcze jak, pomyślała Mallory, wspominając przeszłość.

Jackson spojrział na Joshuę. Dziecko spało. Miało na sobie żółty kaftanik z kapturkiem.

- Wygląda, jakby był gotowy do drogi - zauważył. Mallory skończyła ubierać małego, zanim zadzwoniła do Urszuli. Pragnęła jak najszybciej wydostać się ze szpitala i rozpocząć życie młodej matki.

- Niewiele trzeba, by przygotować niemowlę do podróży. Jackson wsadził ręce do kieszeni, żeby uchronić się przed ponownym dotknięciem Mallory. Nie bacząc na okoliczności, bardzo chciał ją pocałować.

- O ile pamiętam, sama też potrafisz błyskawicznie się ubrać - rzekł z uśmiechem.

Jedno spojrzenie w oczy Jacksona wystarczyło, by Mallory zorientowała się, co miał na myśli.

Chodziło o moment z przeszłości, w którym namówił ją, by się kochali w pustym domu, od tygodni wystawionym na sprzedaż, podczas gdy właściciel przeniósł się na Florydę. Tamten dzień dłużył się jej okropnie i nic nie wskazywało, by miał pojawić się jakiś kupiec chętny do obejrzenia pomieszczeń. Właśnie miała zamknąć dom i wyjść, gdy przyszedł Jackson. Mallory pamiętała wszystko tak wyraźnie, jakby wydarzyło się przed chwilą. Wspomnienie rozgrzało jej krew...

- Witaj - rzekł Jackson zamykając frontowe drzwi i podchodząc do niej, by musnąć pocałunkiem jej szyję.

Już miała zamiar go odepchnąć, bo w końcu mógł jeszcze pojawić się jakiś klient, ale coś ją podkuśliło, by pozwolić mu na pieszczoty. Wtedy przyciągnął ją do siebie i delikatnie przesunął dłonią po piersiach.

Zareagowała natychmiast, choć ani czas, ani miejsce nie sprzyjały intymnościom. Jackson zachowywał się tak, jakby okoliczności były najzupełniej normalne. Bliskość tego mężczyzny miała w sobie coś ekscytującego.

Mallory starała się myśleć rozsądnie, lecz cały wysiłek okazał się daremny.

- Co ty tu robisz? Myślałam, że masz wiele pracy. Dziewczyna wiedziała, jak dużą wagę Jackson przywiązywał do swoich zajęć, a jeszcze dziś rano narzekał, że musi na gwałt nadrabiać zaległości.

- Miałem i mam - odrzekł, wruszając ramionami. - Lecz wolę być tutaj z tobą i rozkoszować się smakiem twojej skóry - powiedział, muskając językiem szyję Mallory.

Zadrzała. Czują, jak uginają się pod nią kolana. Wiedziała, do czego to prowadziło. Tak było zawsze, ilekroć znaleźli się blisko siebie. Nie chodziło o to, że nie pragnęła zbliżenia, lecz o to, iż wszystko działo się w nieodpowiednim miejscu.

- Czy jest tu sypialnia? - Pytanie Jacksona przejęło Mallory dreszczem. Czują napięcie w całym ciele.

- Tak - wymamrotała z trudem. Jackson ujął ją za rękę i pociągnął ku schodom.

- Pokaż, gdzie ona jest - powiedział.

Nie pamiętała, jak weszła na górę. Wprowadziła Jacksona do sypialni, ciągle zbierając siły, by stawić czoło jemu i samej sobie, lecz wszelkie próby okazały się bezowocne.

- Nie możemy tego zrobić - szepnęła, gdy wziął ją w ramiona.

Z figlarnym uśmiechem w oczach ujął jej twarz w dłonie i delikatnie przeciągnął kciukiem po dolnej wardze Mallory, aż zaczęła drżeć w oczekiwaniu na spełnienie.

- Możemy - szepnął. - Popatrz tylko.

- Jackson! Ja oczekuję tu klientów.

Walka była z góry przegrana. Mallory przeszła na stronę przeciwnika.

- To bardzo piękny dom - przyznał. Uśmiechnął się i powoli zaczął rozpinąć jej bluzkę. Chciała go powstrzymać, lecz nie wiedziała, jak poruszyć palcami. Ręce miała bezwolne i wilgotne, a w gardle czuła suchość.

- Mogą przyjść jacyś ludzie...

- Przecież już pora kończyć pracę - powiedział z przekonaniem.

Zsuwając bluzkę, całował ramiona Mallory. Czuła na skórze gorący oddech.

- A poza tym pada. Deszcz zawsze mnie podnieca - dodał, zsuwając ramiączka stanika.

Patrzył na Mallory rozkochanym wzrokiem. Rozpływała się w tym spojrzeniu i zamieniała we wrzącą lawę. Oddychała z wielkim trudem.

- A ciebie? - spytał, odpinając klamerkę stanika, który zsunął się z piersi Mallory.

Teraz mógł nakryć jej dłońią i zacząć pieścić.

Mallory jęknęła. Czuła, że osuwa się w otchłań rozkoszy.

- Mnie podnieca oglądanie z tobą kolekcji motyli - wymruczała.

Roześmiał się. Głębokie, gardłowe brzmienie jego śmiechu ostatecznie pokonało ją w tej bitwie. Nie mogąc opierać się dłużej, trzęsącymi się rękami zaczęła zdzierać z Jacksona ubranie. Po podłodze potoczyły się dwa guziki.

- Czemu się tak spieszysz?

Mallory spostrzegła, że przymknął na moment powieki, gdy zsuwała mu z bioder dżinsy.

- Ktoś może wejść - szepnęła, zwilżając językiem wyschnięte wargi.

Jackson rozebrał się, a potem szybkim ruchem zdjął z Mallory spódniczkę i przyciągnął drżącą z pożądania dziewczynę do siebie.

- Wątpliwe - mruknął z taką pewnością siebie, że zdawało się to rozwiewać wszelkie wątpliwości. - A nawet gdyby, to tylko dodaje specyficznego uroku tej całej sytuacji - powiedział, wsuwając ręce pod jej majteczki.

- Wiesz, co mam na myśli, prawda? - zapytał, rozbierając Mallory całkowicie.

Położył ją na łóżku i przykrył swoim ciałem. Potem nic już nie mówili. Mallory ogarnęła ekstaza. Nie istniało dla niej nic poza Jacksonem. Dotykał jej i pieścił tak, jakby mieli dla siebie cały dzień i noc. Ciało dziewczyny poruszało się i prężyło z rozkoszy.

- Teraz! Teraz! - krzyknęła.

Wygięła się w łuk i ucichła, gdy wszedł w nią głęboko. Potem przyłgnęła do niego, marząc o tym, by znaleźć się z Jacksonem we własnym łóżku, gdzie wszystko to byłoby zaledwie preludium do miłosnej nocy.

Jackson zsunął się z niej i przygarnął ją do siebie.

Usłyszała, że serce bije mu równie gwałtownie jak jej własne.

Czuła się szczęśliwa, zaspokojona. Tak było, dopóki nie usłyszała, że na dole ktoś otwiera drzwi.

- Jest tam kto? - rozległo się wołanie.

To było jak grom z jasnego nieba. Przerażona Mallory spojrzała na Jacksona.

- Omyliłem się - przyznał z rozbawieniem.

Serce tłukło się w niej jak oszalałe, gdy zgarniała swoje rzeczy.

- Ubieraj się! - syknęła.

Zrobił to, o co prosiła, wyraźnie ubawiony okolicznościami.

- Zawsze mogłabyś powiedzieć, że jestem żywym posągami należącym do wyposażenia domu - zażartował.

- Niedoczekanie twoje - rzuciła.

Nawet nie dopuszczała do siebie myśli, by Jackson mógł należeć do kogoś innego.

W ciągu dwóch minut ubrała się i już była gotowa do powitania klientów. Przyjęła ich z taką energią i entuzjazmem, że tego samego dnia dom został sprzedany.

Mallory ciągle jeszcze miała w uszach śmiech Jacksona. Z wysiłkiem odsunęła od siebie wspomnienie tamtych chwil.

- Reguła numer jeden - rzekła z naciskiem. - Żadnych wspomnień.

Wspomnienia stanowiły ważną część planu, który właśnie skryształizował się w myślach Jacksona.

- Ależ... - zaczął, sięgając po dłoń Mallory, lecz ona szybko schowała ją za siebie.

- Reguła numer dwa. Żadnego dotykania - oznajmiła. Nie wierzył, by Mallory dotrzymała umowy, ale teraz podniósł ręce do góry w geście poddania.

- Rozumiem, że o całowaniu też nie ma mowy - upewnił się.

Pocałunki. Jackson uświadomił Mallory, jak bardzo czuła się wobec niego bezbronna. I jak długo mogło jeszcze trwać takie uzależnienie.

- Oczywiście - oświadczyła.

Miał wielką ochotę pobawić się jej włosami, ale zamiast tego spojrzął na śpiące niemowlę i zapytał:

- Mogę wziąć dziecko na ręce?

Mallory przełknęła ślinę. Bez powodu zaschło jej w gardle.

- Weź. - Skinęła głową.

Dobrze znany, figlarny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Mallory odebrała to jako niemy znak. Rozpoczynamy niebezpieczną grę, pomyślała. Przez moment wyobrażała sobie klęczącego Jacksona, który błaga, aby mu wybaczyła. Pragnęła tego, by móc go złamać i odplacić tym za wszystkie krzywdy, które jej uczynił.

Pochylił się nad wózekkiem i wyjął z niego dziecko. Zabawne, zadumał się, że z tej kruszyny wyrośnie kiedyś mężczyzna. Spojrzął na Mallory. Wyraźnie była zaniepokojona. Pewnie bała się, że upuści niemowlę.

- Ciągle przypomina mojego dziadka - zauważył.

- Wszystkie dzieci tak wyglądają - powiedziała z uśmiechem.

Miała nadzieję, że Joshua zatraci w przyszłości to podobieństwo. Być może była przewrażliwiona, lecz wydawało się jej, że chłopiec wygląda dokładnie tak, jak Jackson na zdjęciu z dzieciństwa, które kiedyś u niego widziała. Był równie szczupły, miał też oliwkową cerę. Czyżby Jackson to zauważył?

Mallory nacisnęła guzik, wzywając pielęgniarkę, i zamyśliła się głęboko.

- Tak? - Czyjś głos zakłócił jej zadumę.

To pielęgniarka. Mallory zorientowała się, że ciągle naciska guzik.

- Jestem gotowa do wyjścia - zakomunikowała kobiecie i spojrzała na Jacksona.

Trzymając jej synka w ramionach, wcale nie ukrywał, że bez przerwy intensywnie się w nią wpatruje. Mallory poczuła, że uginają się pod nią kolana, lecz jakoś nad sobą zapanowała.

Urszuli udało się załatwić wszystko zgodnie z planem.

Wyszła z mieszkania, chowając zakupy we właściwych miejscach. Mallory chciała, by wyglądało tak, jakby od dawna leżały w szafie i szufladach. Miała zamiar przekonać Jacksona, że jest głęboko zaangażowana w związek ze Stevenem Mitchellem. Nic bardziej nie doprowadza mężczyzn do szału jak chęć zdobycia tego, co niedostępne. Jackson musi znowu zacząć jej pragnąć, obiecała sobie.

Rzuciła na niego okiem, gdy skręcał autem w ulicę, na której mieszkała. Zastanowiło ją, co robił przez ostatnie trzy dni w mieście. Gdzie się zatrzymał?

- Gdzie mieszkałeś, kiedy byłem w szpitalu? - spytała.

Jackson stanął na podjeździe przed domem i zaciągnął ręczny hamulec. Spędził ten czas w jej mieszkaniu, lecz wolał zachować ostrożność i na razie się do tego nie przyznawać. Po przyjeździe natychmiast zadzwonił do swojego wydawcy i obiecał, że skończy w terminie książkę, nad którą pracował, a potem zajął się zakupami. Wynajęcie pokoju w hotelu nie było częścią jego planu.

- Koło szpitala jest motel - odrzekł. - Pokoje w nim są nieduże, ale z ładnym widokiem.

- Dlaczego nie możesz tam zostać...?

Nienawidził pokoi hotelowych. Rodzice uwielbiali podróże i czasem brali go ze sobą. Zwykle zatrzymywali się w pierwszorzędnym hotelach, lecz on nie lubił zimnych, bezosobowych wnętrz z łózkami starannie zasłanymi przez pokojówki.

- U ciebie jest znacznie przyjemniej - powiedział z uśmiechem. - A poza tym potrzebujesz pomocy, prawda? Wiesz również, że nie potrafię pracować w hotelu.

Mallory skrzywiła się. Pisanie nigdy nie przychodziło mu łatwo. Musiał mieć odpowiednie warunki, by móc skoncentrować się na pracy. A pokoje hotelowe temu nie sprzyjały.

Chyba już wystarczająco mi pomogłeś, pomyślała dziewczyna, spoglądając na buzię śpiącego Joshui. Nie mając rodziców ani żadnych krewnych, którzy w potrzebie mogliby z nią zamieszkać, czuła się nieco samotna. Żeby nie wiem jak się temu opierała, musiała przyznać, iż było jej przyjemnie, że znalazł się ktoś chętny do pomocy. Przynajmniej do czasu, aż nieco okrzepnie i wróci do sił.

- No dobrze, zobaczymy, czy będziesz pomocny - rzekła.

Jackson wysiadł z wozu i podszedł, by otworzyć drzwi po stronie Mallory.

- Jak wypadłem na początek? - zapytał.

Odebrał od niej dziecko i podał ramię. Mallory zignorowała ten gest i wysiadła z samochodu o własnych siłach. Czuła się jednak bardziej niepewnie, niż chciałaby to przyznać.

- Nieźle, ale mogę iść sama - stwierdziła.

Jackson nie potrafił pojąć, czemu tak się zachowywała. Wydawało się, że Mallory zamierza przeciwstawiać się mu na każdym kroku.

- Lekarka radziła ci się nie przemęczać.

- Parametrowy spacer mnie nie zmęczy - rzuciła przez ramię. - A poza tym... - Mallory zatrzymała się gwałtownie, gdy Jackson przełożył dziecko z jednego ramienia na drugie, otwierając kluczem drzwi. Uświadomiła sobie, że jej torebka z kluczami została przecież w samochodzie.

- Skąd wzięłeś klucze? - spytała.

Pojął, że popełnił błąd, i spróbował zrobić dobrą minę do złej gry.

- Zapomniałem oddać ci mój komplet - rzekł, wzruszając ramionami. - Znalazłem je w kieszeni starych dżinsów.

Wyjaśnienia Jacksona jednak nie dotarły do Mallory oniemiałej na widok sterty pakunków piętrzących się w salonie. Po jednej stronie kanapy stały dziecinne mebelki, po drugiej bujany fotel, a dalej piękny, duży wózek. Zdumiona Mallory przeniosła wzrok na Jacksona, lecz on milczał, więc zapytała:

- Czemu to zrobiłeś? Niezupełnie takiej reakcji oczekiwałem.

- Bo chciałem - odpowiedział i delikatnie ułożył dziecko w wózku. - Katalogi leżały w szufladzie.

Wszystko to nie miało sensu. Co on sobie myślał, myszkując po jej biurku?

- Wróciłeś do agencji? - zapytała.

- Tak. Zawiadomiłem twojego szefa, że masz zamiar pójść na urlop macierzyński. A katalogi zauważyłem wcześniej, kiedy szukałem kluczyków od samochodu.

Jackson miał wrażenie, że twarz oblewa mu rumieniec. Nie chciał czuć się tak, jakby popełnił jakieś wykroczenie. Uważał, że zasłużył raczej na wdzięczność Mallory.

- Myślałem, że może będziesz chciała je przejrzeć w szpitalu. - Coraz bardziej plątał się w wyjaśnieniach.

- Przecież nie przyniosłeś mi tych katalogów.

- Zapomniałem - odrzekł jednym tchem.

Podniosła pierwszą z brzegu paczkę. Zamiast ją rozpakować, zważyła w rękach, próbując zgadnąć, co jest w środku. Nie spuszczała przy tym wzroku z Jacksona.

- Wiesz, jak na pisarza, to nie najlepiej się tłumaczysz. Dlatego, że wszystko powinno być zrozumiałe bez wyjaśnień, pomyślał.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Z paczką w rękach Mallory rozglądała się po salonie. To było aż nadto miłe z jego strony i trochę krzyżowało jej plany.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Słowa „dziękuję, Jackson” całkowicie mnie usatysfakcjonują - odpowiedział, a zazdrość kazała mu dorzucić: - Jeśli chcesz, możesz powiedzieć Stevenowi, że wygrałaś to wszystko na loterii.

Próbował doprowadzić do rozdźwięku między nią i Stevenem, a może i do czegoś więcej, uzmysłowiła sobie Mallory, broniąc wyimaginowanego związku.

- Nie chcę oszukiwać Stevena. Zapomniałeś, że ja nie kłamię?

Przez chwilę zastanawiała się, czy Jackson spostrzegł wypieki na jej twarzy. Ale on skorzystał jedynie z okazji, by zauważyć:

- W porządku, kiedy wróci, sam mu powiem, że to wszystko wygrałaś.

Zamierzał mieszkać u niej przez trzy tygodnie, a tego nie mogła zaakceptować. Mallory pomyślała, że tak długo nie wytrzyma, nawet gdyby miało to ostatecznie pokrzyżować jej plany.

- Kiedy wróci, ciebie już tu nie będzie.

- Dlaczego? Jest taki zazdrosny?

Mallory postanowiła tak scharakteryzować Stevena, by okazał się przeciwieństwem Jacksona Caina.

- Nie. Ma bardzo spokojne usposobienie.

Mitchell zaczynał przypominać chodzący ideał. Cóż w nim mogło pociągać kobiety?

- No to w czym problem? - zdziwił się.

- Ty sam jesteś problemem - odparła. Spojrzał na nią ze zdumieniem we wzroku.

- Staram się tylko ci pomóc.

Akurat, pomyślała. Czyżby próbował... skłonić ją, by ponownie go zaakceptowała? Śmiechu warte. Przecież nie mógł się doczekać, by od niej uciec. Dlaczego teraz miałby chcieć wracać? Westchnęła, nie mogąc dojść z tym wszystkim do ładu. Czuła się zmęczona i obolała. Dziecko zaczęło kaprysić. Jackson spostrzegł panikę w oczach jego matki.

- Czemu nie pójdziesz się przebrać? Ja tymczasem sprawdzę, czy dziecko ma sucho.

Mallory wróciła do rzeczywistości. Jackson coraz bardziej ją zaskakiwał.

- Umiesz przewijać niemowlęta?

Kiedy odwiózł Mallory do szpitala, wypożyczył kasetę wideo z instrukcjami, jak pielęgnować noworodki. Pomyślał, że skoro zaofiarował się z pomocą, powinien nauczyć się czegoś pożytecznego w tej sytuacji. Naprawdę chciał jej ulżyć. Może po to, by zatrzeć nieprzyjemne wspomnienia spowodowane jego nagłym wyjazdem, a może po to, żeby sobie samemu coś udowodnić.

- Będiesz jeszcze bardziej zdziwiona, gdy zobaczysz, co potrafię. - Roześmiał się i wziął na ręce kwilące dziecko.

- Z pewnością - mruknęła.

Popatrzył za wychodzącą z pokoju Mallory. Ruch jej bioder ciągle go zachwycał. Wrócił tutaj, pragnąc ostatecznie wyzwolić się spod uroku Mallory, ale teraz zaczął wątpić, czy aby na pewno słusznie postąpił, przyjeżdżając.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przyglądając ręką potargane włosy, Mallory wędrowała do kuchni. Przed chwilą obmyła twarz wodą, by nieco się otrzeźwić. Gdyby na skali od jednego do dziesięciu zmierzyć jej samopoczucie, to wynik brzmiałby: minus dwa.

Była przekonana, że wygląda okropnie. Wszystko wskazywało na to, że nic nie wyjdzie z zamiaru przekonania Jacksona Caina, iż jest wyjątkowo pełną i pociągającą kobietą. Po prostu nie miała na to siły.

Odkąd wrócili ze szpitala, Joshua bez przerwy kaprysił. Minęły już trzy godziny, a dopiero przed chwilą udało się go uśpić. Teraz Mallory powinna była zająć się sobą, ale najpierw musiała zaspokoić głód, który wyraźnie dawał o sobie znać.

Doktor Pollack wiele mówiła na temat konieczności dobrego odżywiania się podczas karmienia dziecka piersią. Koniec z byle jakim jedzeniem, pomyślała. Poniewczasie uprzytomniła sobie, że lodówka jest zupełnie pusta. Trzy dni temu po pracy miała zamiar wybrać się na zakupy. Nie zrobiła tego, bo nagle znalazła się w szpitalu.

- „Nadchodzi piękna jak noc” - zacytował Jackson, a potem ugryzł się w język i powstrzymał uśmiech.

- Bardzo możliwe - powiedziała.

Lustro w przedpokoju wyraźnie pokazywało, jak źle wygląda. Westchnęła, żałując, że nie ma czarodziejskiej różdżki, dzięki której mogłaby przybrać bardziej pełną postać.

- Żebyś wiedział, idę i śpię. - Naprawdę czuła się wyczerpana.

Jackson oderwał wzrok od przenośnego komputera i popatrzył na nią uważnie. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Jeśli już mówimy o spaniu, to czy mały w końcu zasnął? Mallory machinalnie otworzyła lodówkę, choć wiedziała, że nie ma w niej niczego do jedzenia.

- Dopiero co. Nakarmiłam go i przewinęłam. Jeśli dobrze się spisałam, to może... - przerwała i szeroko otworzyła oczy.

- Lodówka nie jest pusta.

- Pierwsza połowa wypowiedzi nie pasuje do drugiej - zauważył Jackson.

Właśnie zmieniał szyk jednego ze zdań powieści. Teraz brzmiało lepiej. To była tylko niewielka poprawka, lecz autor czuł się zadowolony ze swojej pracy.

Mallory zamrugała powiekami, ale nic z lodówki nie zniknęło. Zakłopotana, spojrzała na Jacksona.

- Skąd się wzięło jedzenie?

Do licha, jakiego to słowa szukał? Nie znosił, gdy coś wyparowywało mu z głowy tak jak w tej chwili.

- Z supermarketu.

- Ty to wszystko kupiłeś?

To zupełnie do niego niepodobne, pomyślała. Jackson nie był typem domatora. Kiedy mieszkał w Newport Beach, miał gospodynię, która trzy razy w tygodniu sprzątała i robiła mu zakupy. Mallory mogłaby się założyć, że nigdy nie był w supermarkecie.

- Musiałem - odparł. - Nie potrafiłbym niczego ukraść.

- Podniósł wzrok na Mallory i dorzucił: - Przypuszczałem, że możesz być głodna, więc poszedłem wczoraj na zakupy.

Prezenty dla dziecka, róże, żywność. Gdyby nie była tak głodna i zmęczona, musiałaby się zastanowić, co to wszystko miało znaczyć. Ale teraz myślała wyłącznie o swoim pustym żołądku.

- Niesamowite - mruknęła i wciągnęła powietrze w płuca. - Co to za zapach? - spytała.

Najpierw skończył akapit, a potem odpowiedział:

- Jeśli cię podnieca, to moja woda kolońska, jeśli cieknie ci ślinka, to pewnie zapiekanka.

Może to jednak sen, pomyślała Mallory.

- Zrobięś zapiekankę?

Skończył pracować, nacisnął jeszcze dwa klawisze komputera i wstał. Kiedy to uczynił, zorientował się, że stoi stanowczo zbyt blisko Mallory, by oboje mogli czuć się w tej sytuacji dobrze. Ocknął się pierwszy i uśmiechnął się złośliwie.

- Pozwolisz się pocałować, jeśli powiem „tak”? Wyraźnie jej dokuczał. Przecież dobrze wiedziała, jak wygląda.

- Nie - odparła.

- No to ją odeślę. Tu niedaleko jest nowa, wspaniała restauracja włoska, która serwuje dania na wynos.

Trafił na nią, gdy ostatniej nocy jeździł po mieście motocyklem i zdumiewał się, jak bardzo się zmieniło.

Mallory obejrzała się i spostrzegła włączoną kuchenkę mikrofalową. Jackson podgrzewał jedzenie. Zachowywał się tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Czuł się jak u siebie w domu, gdy podszedł do szafek i zaczął wyciągać nakrycia do obiadu.

- Był wybór między pizzą i zapiekanką - powiedział, spoglądając na Mallory badawczo.

Cofnęła się instynktownie tak, jakby to mogło w coś pomóc.

- Ale uznałem, że powinniśmy uczcić twój powrót ze szpitala czymś specjalnym - zakończył, niosąc talerze.

Pomyślała, że z łatwością mogłaby przyzwyczaić się do takiego traktowania, a to byłby błąd. Bo kiedy już zaczęłaby się go spodziewać, Jackson pewnie by zniknął. Teraz zraniłoby ją to jeszcze bardziej niż ostatnim razem. A przecież ostatnio omal jej nie zabiło, mimo całej dzielności, którą próbowała wykazywać. Nigdy przedtem nie kochała żadnego mężczyzny. Odkryła miłość, kiedy zakochała się w Jacksonie. Pokochała go wówczas raz na całe życie.

Pamiętaj o swoim planie, upomniała się w myślach Mallory. Wyjęła Jacksonowi talerze z rąk i sama ustawiła je na stole.

- Naprawdę nie musisz sobie sprawiać tyle kłopotu.

- Rzeczywiście, strasznie zmęczyły mi się palce od naciskania guzików. - Wyraźnie z niej kpił. - Dostarczyli to, gdy byłaś zajęta Joshuą - dodał. - Nawet nie musiałem jeździć do restauracji.

Wszystko potrafi wytłumaczyć. Zawsze umiał odwrócić kota ogonem. Mallory zmarszczyła brwi. Jackson sięgnął po szklanki, zanim zdążyła zrobić to sama.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli - rzekła.

- Niezupełnie - przyznał bez skrepowania, ale za chwilę spoważniał. - Słuchaj, jesteś zmęczona, a gdybym ja zaczął gotować, to pewnie trzeba by wzywać lekarza, bo bym nas potruł. Więc zamówiłem jedzenie w restauracji. Nic wielkiego. Naucz się przyjmować dary z wdzięcznością - powiedział, rozkładając serwetki.

Mallory nie znosiła krytyki, nawet uzasadnionej.

- Gdybym to zrobiła, mogłabym się od razu do pewnych rzeczy przyzwyczaić - rzekła i spojrzała na Jacksona znacząco. - A oboje wiemy, że to byłby błąd.

Jackson położył rękę na ramieniu Mallory, a potem popchnął ją łagodnie na krzesło.

- Siadaj - powiedział.

Nie mogąc zrobić nic innego, usiadła.

- Dlaczego? - zapytała. Wyciągnął zapiekankę z mikrofalówki.

- Bo jedzenie wystygnie.

- Nie musisz mnie obsługiwać - zauważyła, ale siedziała dalej, zbyt zmęczona, by wstać.

Jackson ustawił pojemnik z zapiekanką na stole.

- W porządku. To ty mnie obsłuż - zgodził się.

W żadnym razie, pomyślała. Skończyły się dobre czasy.

- Możesz sobie pomarzyć.

- Tak też myślałem - roześmiał się.

Otworzył lodówkę i wyjął z niej karton mleka. Kiedy nalewał go do szklanki, skrzywiła się. Nie znosiła mleka. Usiadł i nałożył jej porcję zapiekanki.

- Pij, to dobre dla dziecka - zachęcił.

Miał rację, ale nie znosiła mleka. Spojrzała niechętnie na szklankę.

- Czy nie mogłabym zamiast tego zjeść porcji lodów i w ten sposób dostarczyć dziecku tych wszystkich składników, które zawiera mleko?

Jackson uśmiechnął się, wspominając, jak bardzo Mallory lubiła lody. Uwielbiała je bardziej niż pieszczoty. No, prawie.

- Po obiedzie - obiecał. - I jeśli będziesz grzeczna.

- Co znaczy: grzeczna? - spytała nastroszona.

- Jeśli zjesz wszystko, co masz na talerzu.

To naprawdę nie był Jackson Cain, którego pamiętała.

Zuchwały, seksowny pisarz, pozbawiony serca i nie dbający o żadne dzieci, karmienie piersią czy inne kłopoty poporodowe, które lada chwila mogły się zacząć.

- Jackson, nie poznaję cię. Zaczynasz mnie przerażać - powiedziała, unikając jego wzroku.

Może zachowywał się jak despota, ale Mallory potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się wesprzeć. A on starał się, jak mógł. Położył rękę na jej dłoni.

- Wolałabyś, żebym cię ścigał pożądlwym wzrokiem? Natychmiast usunęła rękę. Jeśli miała zamiar zrealizować swój plan, nie mogła mu pozwolić na pieszczoty, nawet najniewinniejsze.

- Nie, ale byłoby to bardziej w twoim stylu.

- W porządku. Uważaj się za kobietę budzącą pożądanie. - Skinął głową i wziął się za jedzenie.

Mallory roześmiała się. Wiedziała, że powinna zachowywać w stosunku do Jacksona dystans, ale to było takie trudne. Szczególnie w tej chwili. Później urzeczywistni swój plan. Na razie delektowała się pochlebstwem.

- To brzmi nieźle, biorąc pod uwagę, że czuję się gruba jak hangar na lotnisku, który właśnie opuścił samolot.

- Jesteś jedną z najzgrabniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem. - Jackson pokręcił głową. - Wcale nie wyglądasz jak kobieta po porodzie - rzekł i zaraz zauważył, jak zmienia się wyraz twarzy Mallory.

Była w tym mieszanina wdzięczności, oszołomienia i czegoś trudnego do nazwania.

- Co się stało? Czy powiedziałem coś złego? Zmarszczyła brwi, grzebiąc widelcem w jedzeniu. W ciągu pięciu minut straciła apetyt. Jak to możliwe?

- Znowu stajesz się miły.

- Czy to źle?

Mallory odetchnęła głęboko. Przebywanie z tym mężczyzną pod jednym dachem okazywało się trudniejsze, niż przypuszczała. Nie potrzebowała dodatkowych stresów. Wystarczająco dużo kłopotu sprawiało jej zwalczanie lęków młodej matki.

- W tej chwili tak.

Jackson nie podzielał tej opinii. Zapominając o jedzeniu, ujął jej rękę. Zmusił Mallory, by spojrzała mu w oczy.

- Czy twój związek ze Stevenem jest trwały? Wyrwała rękę. Jackson znowu zaczął przypominać jej drapieżnika.

- Jak możesz pytać? Właśnie urodziło się nam dziecko. Celowo użyła słowa „nam”. To, co powiedziała, było przecież tak bliskie prawdy, jak to tylko możliwe.

Doskonale wie, o co mi chodzi, pomyślał Jackson, ale sformułuję to jeszcze wyraźniej.

- Stosunki między ludźmi się zmieniają.

Ogarnął ją smutek. Może powinna zrezygnować ze swojego planu i nie zmuszać Jacksona, by zaczął żałować tego, co zrobił. Lepiej od razu zażądać, żeby sobie poszedł. Ta sytuacja zaczynała ją ranić.

- Tak - odrzekła cicho. - Wiem.

Mówi o nas, ale między nami nic się jeszcze nie skończyło, pomyślał Jackson. Właśnie zamierzał tego dowieść.

- Nawet małżeństwa się rozpadają - powiedział z przekonaniem w głosie.

Mallory wiedziała, że Jackson Cain próbuje osiągnąć to, na co mu zwykle pozwalała. Tym razem jednak nie mogła ulec. Nowo narodzone dziecko oczekiwało od niej siły charakteru i stanowczości. Dla dobra Joshui musi podjąć grę.

- Steven i ja nie zamierzamy się rozstawać.

Jackson nie czuł się przekonany. W oczach Mallory nie dostrzegł miłości, gdy wymawiała imię Stevena. Nic nie wskazywało na to, by ten człowiek był jej szczególnie bliski.

- On przebywa na Alasce, a ty tutaj. I tak nie jesteście razem - stwierdził sarkastycznie, wstając od stołu, by wyrzucić resztki jedzenia, bo zupełnie stracił apetyt. Mallory z trzaskiem rzuciła widelec na talerz.

- Cofam to, co powiedziałam. Nie ma w tobie nic miłego. Znowu jesteś sobą - rzekła. - Jeśli nadal masz zamiar oskarżać Stevena, będę musiała cię prosić, byś opuścił mój dom.

Jackson oparł się o zlew i popatrzył na Mallory. Jeśli uznałby, że należy wyjechać, wsiadłby na motor i pomknąłby aż do Nowego Jorku. Zrób to, szeptał mu jakiś głos.

- Może powinienem to zrobić - rzekł łagodniejszym tonem, czując jednak urazę w duszy.

Dziecko znowu zaczęło płakać. Jackson zauważył, że Mallory skrzywiła się mimowolnie.

Wyglądała na zmęczoną. Urocza, ale zmęczoną. Spór na jakiś czas pozostał nie rozstrzygnięty.

- Może wyjadę jutro rano - stwierdził. Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

- Dokąd idziesz? - zawołała Mallory.

- Sprawdzić, czy ciągle jeszcze umiem usypiać śpiewem - rzucił przez ramię. - W twoim przypadku kiedyś to skutkowało - rzekł z uśmiechem, zatrzymując się w drzwiach.

Pamiętała. I w tym właśnie tkwił problem. Stanowczo za dużo pamiętała. Dla kaprysu zabrał ją kiedyś do Nowego Orleanu. Bawili się całą noc, a potem kochali się namiętnie w hotelowym pokoju.

- Byłam na nogach przez trzydzieści sześć godzin. Jackson nie przestawał się uśmiechać.

- To było szalone trzydzieści sześć godzin, prawda? Wyszedł, lecz jego słowa dźwięczały w uszach Mallory.

Westchnęła. Może byłoby lepiej, gdyby jutro rano rzeczywiście wyjechał. Co za niesprawiedliwość! Jeśli fu ktoś czegoś żałował, to z pewnością nie był to on, ale ona. Mieć go obok siebie to prawdziwa męka. Im szybciej wyjedzie, tym szybciej będzie można o nim zapomnieć.

Następnego ranka Mallory z nieprzyjemnym uczuciem wchodziła do kuchni. Pierwsza noc z Joshua w domu okazała się istną torturą. Znosiła ją sama, bo Jackson spał w gościnnym pokoju. Aż do świtu zajmowała się maleństwem. Spała może pięć minut. Najwyżej sześć. Wiedziała jedno: to było stanowczo za mało.

Chyba mam halucynacje, pomyślała. Wyraźnie czuła zapach kawy. Aromat stawał się coraz mocniejszy. To musiała być kawa. Zabawne. Nie przypominała sobie, by w nocy nastawiała ekspres.

Nie zrobiła tego. To Jackson, domyśliła się. Siedział przy kuchennym stole i pracował, a przed nim stał biały kubek z kawą. Przenośny komputer był uruchomiony. Na ekranie można było odczytać jakiś tekst, lecz tak wcześnie rano Mallory nie potrafiła się na nim skoncentrować.

- Cześć - mruknęła, kierując się prosto do ekspresu.

- Cześć - odpowiedział.

Jackson czekał na przyście Mallory do kuchni od chwili, gdy się obudził. Miał chęć zapukać do sypialni, ale zdecydował, że nie będzie jej przeszkadzał. Uznał, że znajdzie się jeszcze wiele innych okazji do udzielania pomocy. Nieuchwytny Steven nie wróci wcześniej niż za jakieś dwa i pół tygodnia. To daje mu pole do popisu.

Mallory wyglądała uroczo zaspana i z włosami w nieładzie. Nieco rozchylony jasnoniebieski szlafrok ukazywał rąbek nocnej koszuli. Dobrze pamiętał chwile, kiedy stała przed nim, mając na sobie tylko szlafrok. Z wysiłkiem ukrył pożądanie.

- Jesteś zmęczona? - spytał.

Mallory podnosiła do ust filiżankę z kawą jak czarę z napojem przywracającym życie. Tego ranka kawa rzeczywiście mogła zdziałać cuda.

- Tak - odrzekła i przełknęła duży łyk aromatycznego, gorącego płynu.

Od razu poczuła się lepiej. Otworzyła szerzej oczy i spojrzała na Jacksona.

- Wcześnie dziś wstałeś.

Skinął głową. Zamiast pomagać jej przy dziecku, zmusił się, by zejść na dół i zacząć pisać.

- Najlepiej pracuje mi się rano.

Doskonale o tym pamiętała. Zawsze zastanawiała się, jak można skłonić umysł do pracy przed ósmą rano.

- Mnie nie - przyznała i roześmiała się, pijąc kawę. Jackson podniósł wzrok na Mallory, odpowiadając jej uśmiechem. Znowu coś sobie przypomniał.

- No, nie wiem. To było wtedy...

Mallory ostrzegawczo podniosła palec do góry.

- Uwważaj! Reguła numer jeden.

- Przepraszam. Zapomniałem.

- Przeprasiny przyjęte - oznajmiła.

Poczuła, że nogi uginają się pod nią z niewyspania. Usiadła przy stole. Chciała zapytać, czy Jackson postanowił zostać, ale pewnie wtedy pomyślałby, że pragnie go zatrzymać. Lepiej było udawać, że wczorajsza rozmowa w ogóle nie miała miejsca.

Spojrzała na ekran komputera. Gdyby się skupiła, mogłaby odczytać tekst.

- O czym piszesz?

Jackson traktował swoje prace jako coś bardzo prywatnego, dopóki nie uzyskały ostatecznego kształtu. Odwrócił ekran ku sobie.

- Jeszcze nie jestem pewien. Ciągle szukam...

Piła kawę bardzo powoli, delektując się nią po zaspokojeniu pierwszego pragnienia.

- Musisz przecież mieć jakiś pomysł, kiedy zaczynasz pisać. Miał, lecz jeszcze nie był gotów, by się nim podzielić.

- Wiesz, że nie lubię przedwcześnie zdradzać fabuły.

- Przepraszam - powiedziała i zmarszczyła brwi, popijając swoją kawę.

Ton jej głosu zaalarmował Jacksona. Podniósł wzrok. Odniósł wrażenie, jakby Mallory znowu odsuwała się od niego. Do licha, uświadomił sobie, że właśnie przegapił szansę nawiązania z nią bliższego kontaktu. Przecież zajmował się pisaniem, a to forma komunikacji. Czemu więc z tą dziewczyną szło mu tak opornie?

Jackson szybko przebiegł w myślach własne notatki.

- Rzecz dotyczy tajemniczego morderstwa, które zdarzyło się w Newport w latach pięćdziesiątych. Dlatego tu wróciłem.

A ja myślałam, że chciał mnie zobaczyć. Idiotka ze mnie. Oczywiście, że nie po to przyjechał, pomyślała Mallory.

Gwałtownie wstała od stołu. Bariera między nimi winna zostać utrzymana, jeśli wszystko miało się toczyć zgodnie z planem.

- Nie będę ci dłużej przeszkadzać - rzekła, słysząc dobiegający z sypialni płacz dziecka. - Chyba znowu jestem małemu potrzebna.

Z westchnieniem odstawiła filiżankę i wstała od stołu. Jackson chwycił ją za przegub ręki, zanim zdążyła opuścić kuchnię. Zatrzymała się i spojrzała na niego z gniewem, a on od razu wiedział, co chciała powiedzieć.

- Pamiętam. Bez dotykania. - Puścił rękę Mallory. - To nic takiego, co mogłoby cię zaniepokoić - zauważył. - Po prostu chciałem cię zatrzymać - i dodał, zanim zdążyła zareagować: - Czemu nie usiądziesz i nie wypijesz drugiej filiżanki kawy? Zawsze potrzebowałaś dwóch, żeby się obudzić. Uniosła brwi ze zdziwienia. Pamiętała?

- Ale dziecko...

- Ja zobaczę, czego sobie życzy Jego Wysokość. Mallory spojrzała na komputer. Z tego, co zdołała zauważyć, Jackson przerwał pisanie w pół słowa.

- Przecież pracujesz.

Wiedziała, że nie znosił, gdy przerywano mu pracę.

- To nic ważnego. Tylko wstępne notatki i szkice pomysłów - zapewnił, gdy próbowała protestować. - Kiedy wreszcie przestaniesz kłócić się ze mną o wszystko? - spytał z uśmiechem. Natychmiast zareagowała, robiąc gniewną minę.

- Wcale się nie kłócę, tylko...

- Kłócisz się - przerwał jej Jackson. To prawda. Wdawała się w sprzeczki.

- To twoja wina. Jesteś zbyt miły, a to wytrąca mnie z równowagi.

Kiedy się dąsała, wyglądała jeszcze bardziej uroczo. Przygryzł wargi, próbując opanować narastające w nim pożądanie.

- Może staję się innym człowiekiem.

A prosięta zaczynają fruwać, pomyślała.

Tak jak przewidział Jackson, po wypiciu drugiej kawy Mallory doszła do siebie. Mogła teraz dokładniej przyjrzeć się ekranowi komputera. Było tam tylko dwanaście linijek tekstu, lecz przykuły one uwagę dziewczyny. Jackson miał talent, który sprawiał, że wszystko, co napisał, od pierwszego słowa stawało się interesujące. Przeczytała każdą jego książkę.

Kilka z nich wyrzuciłam na śmietnik, pomyślała ponuro.

To była dziecinada, ale wtedy przyniosła jej ulgę. A co innego mogło pomóc, gdy Jackson tak nagle wyjechał?

Przygryzła wargę, zastanawiając się, dlaczego wrócił. W dzisiejszych czasach systemy komunikacyjne były tak doskonałe, że wszystkie potrzebne informacje mógł uzyskać poprzez Internet. To, co jej powiedział o powodach przyjazdu, było tylko próbą zamydlenia oczu. Nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego sensownego powodu, dla którego dawny kochanek miałby pojawić się w Newport.

Jakiś hałas odwrócił jej uwagę. Do kuchni wszedł Jackson z Joshua na ręku. Nie mogła ochłonąć ze zdumienia, że tak bardzo naturalnie wyglądał z dzieckiem w ramionach. Kto by pomyślał? Jackson odwrócił niemowlę tak, by spojrzało na Mallory.

- Zobacz, tu jest mama. Nie porzuciła cię, tylko odpoczywa.

- Jak się masz, kochanie. Co on ci tam gada? - Mallory z uśmiechem wstała z krzesła.

Jackson podał jej maleństwo.

- Same dobre rzeczy. Wydaje mi się, że Josh jest głodny, a ja nie mogę zaspokoić jego potrzeb. A może chcesz zacząć go karmić odżywką?

Jeszcze nie. Może później, kiedy wrócę do pracy, pomyślała. Takie karmienie ułatwi mi wówczas życie. Na razie cieszyła się z bliskiej więzi z dzieckiem.

- Skąd wiesz, że jest głodny? - spytała Mallory, odbierając synka z ramion Jacksona.

W jaki sposób to maleństwo potrafiło tak szybko mnie zawojować, zastanawiał się Jackson.

Rzecz była trudna do zrozumienia, a jednak...

- Kiedy zaczął ssać mój palec, pomyślałem, że to znak. Jackson stanął za Mallory, położył rękę na jej ramieniu i spojrzał na dziecko. Przejęło go słodkie pragnienie połączone z wyrzutami sumienia. Gdyby nie wyjechał, to mogłaby być jego rodzina...

Ciągle jeszcze może tak być, pomyślał. Mallory najpierw należała do niego, zanim znalazła się w ramionach Stevena.

Steven. Jackson przypomniał sobie o tym człowieku. Kiedy Mallory była w szpitalu, dokładnie obejrzał całe mieszkanie, szukając śladów przebywania w nim rywala i ciągle nie mógł ich znaleźć.

- Jak on wygląda? - zapytał.

- Kto?

- Steven. Zauważyłem, że nie masz żadnej fotografii. Dlaczego?

- Nie lubi się fotografować.

- Dlaczego? Taki brzydki?

Mallory odsunęła się, zwiększając dystans między nimi i spojrzała na Jacksona.

- Nie, nie jest brzydki - zaczęła. - On... - Nieśmiały? Co tu wymyślić, żeby przekonać Jacksona?

- Jest członkiem jakiejś sekty religijnej?

- Tak - potwierdziła bez namysłu, przystając na sugestię Jacksona, zanim zorientowała się, że rzucił ją ot, tak sobie.
- To znaczy nie jest. Już nie jest - poprawiła się. - Ale stare przyzwyczajenia pozostały - rzekła i przeszła do ataku. - Powinieneś coś o tym wiedzieć.
- Punkt dla ciebie - przyznał Jackson. - Lecz ciągle wydaje mi się dziwne, że nigdzie nie masz ani jednej fotografii człowieka, którego kochasz.
- Mam - odrzekła i wskazała ręką na serce. - A teraz muszę cię przeprosić i zająć się głodnym Joshem. Dziękuję za kawę. Ciągle parzysz znakomitą - powiedziała chłodno, właśnie tak, jak sobie tego życzyła.
- Miło mi to słyszeć - odrzekł, spoglądając za nią w zamyśleniu.
Jakoś mu nie pasowały do siebie wszystkie fragmenty tej układanki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pozornie wszystko jest w porządku, pomyślała Mallory, podsuwając Joshui drugą pierś. Jackson zaoferował pomoc przy dziecku, więc nie mogła mieć o nic pretensji. Rzeczywiście tak bardzo zmienił się na lepsze, że przechodziło to najśmielsze oczekiwania. Wobec Josha wykazywał bezgraniczną cierpliwość, a jego obecność wpływała na dziecko uspokajająco. Prawdę mówiąc, malec rzadko kiedy kaprysił, gdy Jackson znajdował się w pobliżu. Pomoc w opiece nad maleństwem przychodziła mu bez wysiłku. Mallory od dawna wiedziała, że jest znakomity we wszystkim, do czego zechce się przyłożyć.

Jeśli sądziła, że Jackson szybko się zmęczy, to się myliła. Nie wykazywał żadnych oznak zniechęcenia. Odkąd zjawił się półtora tygodnia temu, coraz bardziej wprawiał się w pracach pielęgnacyjnych, których wymagało niemowlę. Pomagał kąpać i przewijać małego. Nigdy nie narzekał, że chłopczyk zajmuje mu zbyt wiele czasu czy przeszkadza w pracy.

Sam nie podejrzewał siebie o takie predyspozycje, a Mallory nawet nie miała pojęcia, że istnieją. Problem nie polegał na tym, iż Jackson dotrzymywał słowa, tylko że dotrzymywał go aż nadto gorliwie. Pograżał Mallory w przyjemnym śnie. Tylko przebudzenie mogło okazać się nieprzyjemne.

Mallory zdążyła się przyzwyczaić do jego codziennej obecności. Chociaż próbowała walczyć z tą słabością, każdego ranka wędrowała do kuchni przyciągana aromatem kawy. Nie mogła się uchronić przed wpływem, jaki Jackson wywierał na jej życie. Wśród codziennych zajęć przestała myśleć o swoim planie, by zmusić Jacksona do cierpienia za to, iż kiedyś ją opuścił.

Dziecko znowu zapłakało. Z bezradnym westchnieniem podała mu drugą pierś. Niezadowolony, głodny Joshua zaczął płakać jeszcze głośniejsze. Te rozpaczliwe dźwięki przejęły Mallory poczuciem winy. Jej też zbierało się na płacz.

Coś było nie w porządku. Przez pierwszych pięć dni miała wrażenie, że może wykarmić nawet dwójkę dzieci. Teraz nagle, bez przyczyny, zaczęło brakować pokarmu dla Josha. Mallory nie rozumiała, co się stało. Zaciśnięta usta. Płacz nic nie pomoże.

- Spróbuj ssać mocniej, kochanie - zachęciła synka. - Może mama potrzebuje silniejszego bodźca.
- Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem.

Mallory spojrzała ku drzwiom. To stamtąd rozległ się głos Jacksona, który miał dziwny wyraz twarzy. Uśmiechał się, lecz za tym uśmiechem kryło się coś więcej. Mallory nie potrafiła tego odszyfrować.

Po co tu przyszedł? Nie miał powodu, by stać tutaj i przyglądać się jej w tej chwili. Oczy Mallory zwięzły się w milczącym oskarżeniu. Odwróciła się tyłem do intruza.

- Co tu robisz? - spytała.

- Pukałem, lecz nie odpowiedziałaś.

Powoli zamknął drzwi i stanął zachwycony tym, co ujrzał. Niezliczoną ilość razy widział Mallory naga czy na wpół ubraną, ale w tym, co teraz zobaczył, było coś niezwykle poetycznego. Wpił wzrok w karmiącą matkę, pragnąc zatrzymać w pamięci jej obraz, by potem uwiecznić go na kartach książki. Patrząc na nią, nie mógł zrozumieć, skąd znalazł w sobie tyle siły, by w ogóle ją opuścić. Odkasznął, próbując cokolwiek powiedzieć.

- Idę do sklepu i chciałem spytać, czy ci czegoś nie trzeba.

Mallory podniosła wzrok i ujrzała odbicie w okiennej szybie. Dojrzała przezroczysty zarys własnej twarzy okolonej długimi włosami, dziecko przy piersi i Jacksona, który na nich spoglądał.

Zmieszanie połączone z poczuciem satysfakcji sprawiło, że się zarumieniła.

- Przyglądasz się nam?

Tak było. Nic nie mógł na to poradzić.

- Przepraszam - rzekł i skierował wzrok na ścianę. Wydało mu się niewłaściwe, że przeprosił za swoje zauroczenie widokiem naturalnego piękna.

Mallory czuła się niezręcznie, a jednocześnie wzrok Jacksona przykuwał ją do siebie. Trzymając dziecko w ramionach, przykryła piersi i doprowadziła bluzkę do porządku. Dopiero potem odwróciła twarz ku Jacksonowi.

- Chyba nie powiesz, że widzisz to po raz pierwszy - zauważyła.

Zdziwiła się, gdy potrząsnął głową i szepnął:

- W pewnym sensie po raz pierwszy. Miętkość i ton jego głosu przejęły ją do głębi. Mallory masowała delikatnie plecki niemowlęcia. Tak mi przykro, maleńki. Tak mi przykro, powtarzała w duchu.

- Dlaczego nie pracujesz? - zapytała, spodziewając się, że Jackson zaraz powie coś na temat braku warunków do koncentracji i obwini ją o to, jak zwykł czynić dawniej.

Tymczasem Jackson podszedł bliżej. Nie mógł powstrzymać się od pogłaskania malutkiej stopki, wysuwającej się z becika. Nie potrafił oderwać wzroku od buzi dziecka. Mały zmarszczył nosek i wydał dźwięk podobny do chichotu.

- Pracowałem rano - odpowiedział.

Kiedy wcześniej przechodziła przez kuchnię, siedział przy komputerze, tak zatopiony w myślach, że nawet jej nie zauważył. Pisanie zawsze było dla niego czymś z pogranicza agonii i ekstazy.

- Tak szybko skończyłeś?

Jackson spojrział na nią, a potem na dziecko. Joshua próbował ssać bluzkę mamy, poczynając od poduszczeni na ramieniu. Łagodnie wyciągnął materiał z buzi małego.

- Zdziwiająca, prawda? - zauważył.

Wiele razy się nad tym zastanawiał. Zwykle taka praca zajmowała dużo czasu. Pisanie nie przychodziło mu z łatwością, jak innym autorom. Każdy akapit, wers, słowo pojawiały się na ekranie komputera po długich torturach. Tak było, zanim pojawił się w Newport. Teraz też pisanie zabierało mu kilka godzin, ale w porównaniu z wcześniejszym okresem przebiegało znacznie sprawniej. Nie spodziewał się, że będzie przychodziło mu z taką łatwością.

Jak na ironię, musiał to być wpływ Mallory. Choć przecież właśnie przed nim starał się uciec za pierwszym razem.

Być może czas wszystko zmienia, zamyślił się.

Mallory odsunęła się od niego i podeszła do okna. Próbuje umknąć przede mną, pomyślał. Po chwili ocknął się z zadumy i rzekł:

- Trzeba coś kupić na obiad. Jak sądzisz? Przyjrzał się Mallory, a potem zauważył:

- Martwisz się czymś.

Pisanie szło mu dobrze, lecz znacznie ważniejsze sprawy nie układały się najlepiej. Trudno było zauważyć postęp w stosunkach z Mallory. Jackson zinterpretował wyraz twarzy byłej kochanki na swój sposób.

- Chcesz, żebym wyjechał?

Tak, przestań się wtrącać w moje życie. Nie jestem bohaterką twojej powieści. Nasze sprawy nie wyjaśnią się po zapisaniu iluś stron, pomyślała.

- Nie chodzi o ciebie. Po prostu... - Głos jej się załamał z bezradności.

Ciszę przerwał płacz Josha. Mały płakał coraz głośniejsze.

Uwaga Jacksona natychmiast skierowała się ku dziecku. Zbliżył się do Mallory, nie zważając na ostrzeżenie, które dostrzegł w jej wzroku.

- Coś mu jest?

Joshua wyglądał tak samo jak o poranku, kiedy domagał się zmiany pieluszki. Mallory potrząsnęła głową.

- Chodzi o mnie - powiedziała.

Jackson łagodnie wziął od niej dziecko i zaczął je kołysać. Uspokojony malec przytulił się do jego piersi.

- Co się stało?

Mallory nie odpowiedziała, więc lekko potrząsnął jej ramieniem. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Przecież wiem, że lubisz mówić - zachęcił.

Pod tym względem bardzo się różnili. On wypowiadał się, używając pióra i papieru. Ona wolała inne środki. Kiedyś właśnie to przyciągnęło go do niej.

- Zawsze chciałaś wszystko omawiać.

On zaś pozostawiał rzeczy nie dopowiedziane, wychodząc z założenia, że słów, które nie padły, nie trzeba potem cofać.

Mallory jeszcze raz odsunęła się od Jacksona. Boże, dlaczego taki ból sprawiał jej widok tego mężczyzny z ich synkiem w ramionach?

- Może się zmieniłam - rzekła, wzruszając ramionami.

- Byłoby to równoznaczne z nagłą przemianą białego leoparda w jasnoróżowego - zażartował.

Dziecko zasnęło, uspięne dźwiękiem głosu Jacksona, który ułożył je delikatnie w łóżeczku i przykrył kocykiem. Wziął Mallory za rękę i wyprowadził z pokoju.

- Powiedz, w czym rzecz. Może będę mógł ci pomóc. Mallory przymknęła drzwi, pozostawiając niewielką szparkę. Roześmiała się cicho do siebie, schodząc na dół. Jackson podążał tuż za nią.

- Odkąd to uważasz, że możesz wszystkiemu zaradzić?

- Nie wszystkiemu - odrzekł. - Ale pewnym sprawom na pewno. Nie przekonasz się, dopóki nie spróbujesz.

Mallory postanowiła nie odpowiadać. Jackson chwycił ją za przegub ręki i odwrócił ku sobie. Zdziwiła się, widząc coś niepokojącego w jego wzroku. Przez moment w ogóle nie mogła uwierzyć, że to wszystko tak bardzo go obchodzi.

Uznała, że nie może dać się zwieść pozorom. Gdyby rzeczywiście coś dla niego znaczyła jako kobieta, nie opuściłby jej przecież. Z wahaniem przestudiowała twarz Jacksona, próbując odczytać z niej przyczynę tej nagłej troski. Wszystko wskazywało, że nie mówił ot, tak sobie,

lecz, przynajmniej w tym momencie, przejawiał autentyczne zainteresowanie jej kłopotami. Nabrała tchu, spojrzała w sufit i wyrzuciła z siebie:

- Wyczerpałam się już. Niezupełnie zrozumiał, o co jej chodzi.
- Taka przypadłość raczej mnie mogłaby dotyczyć - zauważył.
- Nie w sensie twórczym, lecz fizycznym - wyjaśniła zniecierpliwiona.

Bolało ją, że rozmawia z nim o takich intymnościach.

Wolałaby odizolować go od siebie pod każdym względem. Nie powinna się zgodzić, by z nią zamieszkał, pomyślała. Tymczasem Jackson nadal niczego nie pojmował.

- Josh jest głodny, a ja nie mam pokarmu.
- Och!

Jackson pomyślał o odżywcze, którą pielęgniarka dała Mallory przy wyjściu ze szpitala. Wiele matek karmiło nią swoje dzieci. Nie dostrzegał większej różnicy między odżywką a pokarmem matki.

Mallory odeszła, czyniąc sobie w duchu wyrzuty, że powiedziała zbyt wiele. Jackson wcale nie musiał wiedzieć o tym wszystkim. I tak w niczym nie pomoże.

Podążył za nią do kuchni, widząc, że naprawdę cierpi.

- Może to tylko chwilowe - starał się pocieszyć.
- A tymczasem czym mam karmić dziecko? - zapytała.

Problem tkwi nie tylko w wyczerpaniu pokarmu, pomyślał. W grę wchodzi zapewne inne sprawy. Jackson miał świadomość, że pierwotne źródło zdenerwowania Mallory wiązało się z jego osobą. Należało ograniczyć presję i powoli oswajać ją z sytuacją. Może wówczas odzyskaliby szansę bycia razem. Gdyby tylko udało się usunąć Stevena z życia Mallory...

- Zastosuj odżywkę - poradził. - Zadzwoń do swojej lekarki, do pediatry. Porozmawiaj z kimś, kto mógłby cię uspokoić.

Naprawdę się o mnie troszczy, pomyślała. Czyżby chodziło o jakąś więź z dzieckiem albo poczucie winy?

Zanim Jackson zdołał dorzucić coś więcej, Mallory uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dziękuję. Rzeczywiście dali mi odżywkę dla małego - przypomniała sobie.

Starała się myśleć jasno, lecz w obecności Jacksona nie było to proste zadanie. Otworzyła szafkę i zaczęła przeszukiwać półki. Gdzie się ta odżywka podziała?

- Schowałam ją na wszelki wypadek.

Jackson przykucnął obok Mallory. Spojrzała nań z rozbawieniem, gdy zaczął przesuwac opakowania z ciastem w proszku.

- Zrobiłaś się bardziej praktyczna, odkąd... - zaczął, ale nie dokończył, nie chcąc wspominać okresu, kiedy byli razem.

Jest. Sześć opakowań odżywki tkwiło za napoczętym pudełkiem płatków owsianych, które zamierzała wyrzucić jeszcze w czasie wiosennych porządków.

Spojrzała przez ramię na Jacksona, sprawdzając, czy to, co powiedział, można uznać za komplement.

- A ty stałaś się bardziej troskliwy - rzekła.
- Zawsze byłem troskliwy - powiedział, pomagając jej wstać.

Znowu znalazł się zbyt blisko. Mallory odsunęła się i zauważyła:

- Wybacz, musiałam cię pomylić z innym kochankiem. Zacisnął szczęki na myśl o drugim mężczyźnie. Kątem oka

Mallory spostrzegła zmianę wyrazu jego twarzy.

- Naprawdę? - zapytał.

Zirytowana Mallory otworzyła kuchenną szafkę i wyjęła małą butelkę z różowym, tańczącym słońcem.

- Żartowałam, Jacksonie.

Wyciągnął puszkę odżywki z plastikowego opakowania i podał ją Mallory.

- Jeśli już mówimy o żartach, to powiedz mi, czy Steven kiedykolwiek zadzwonił do ciebie z Alaski?

Znowu to samo, pomyślała Mallory. Kłamstwo, które wymyśliła na poczekaniu, pociągnęło za sobą lawinę konsekwencji.

- Oczywiście - rzekła, szukając w szufladzie otwieracza do puszek.

Pchnęła szufladę z takim hałasem, że aż sztucce wypadły na podłogę.

- Patrz, co narobiłeś - rzuciła.

- Ja? To przecież to ty coś wyczyniasz z szufladą - powiedział, a potem schylił się, by pozbierać i włożyć na miejsce porzucane noże, łyżki i widelce.

- Nie w ten sposób. Najpierw trzeba je umyć - pouczyła go Mallory.

- Po co? - spytał, oglądając sztucce. - Podłoga jest czysta. Mallory szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Wyjęła mu wszystko z rąk i wrzuciła do zlewozmywaka.

Chcąc być użytecznym, Jackson przygotował odżywkę, podczas gdy Mallory płukała sztucce.

- A więc? - zapytał, nie dając za wygraną. Wiedziała, że Jackson nie ustąpi, dopóki się nie dowie.

Sama była sobie winna.

Położyła mokre sztucce na suszarce i gorączkowo próbowała coś wymyślić.

- Nie jest powiedziane, że w każdym tygodniu musi do mnie telefonować. On dzwoni, kiedy przyjeżdża na alaskańskie lotnisko. Obiecał, że będzie się starał nawiązywać ze mną kontakt co parę tygodni.

Mallory czuła, że jej inwencja się wyczerpuje, a Jackson wcale nie wyglądał na przekonanego. Lecz to jego problem.

- Słuchaj, on ma dużo spraw na głowie - powiedziała, odkładając ostami widelec. - To nie takie proste być inżynierem budownictwa lądowego i wodnego.

- Mówiłaś, że jest nafcjarzem - zauważył, unosząc brwi. Do licha, rzeczywiście.

- Tak. Bo jest jednym i drugim. Zdobył obie specjalności. Jackson wziął ścierkę i zaczął wycierać sztucce.

- Takie łączone studia musiały być bardzo wyczerpujące - zauważył, wrzucając kilka łyżek do szuflady.

- Oczywiście - potwierdziła. - Steven pracował na pełnym etacie i studiował wieczorowo. Przez kilka lat.

Mallory wzięła rondel, napełniła go wodą i postawiła na ogniu. Zmniejszyła płomień, a potem włożyła do wody butelkę z odżywką.

- Dlatego kariera zawodowa jest dla niego taka ważna - dodała.

- Rozumiem. - Jackson pokiwał głową, jakby porządkował w myślach informacje. - To wyjaśnia, czemu jest taki twardy - rzekł, z trudem powstrzymując uśmiech i wrzucając do szuflady następne sztucce.

- Twardy? Nie rozumiem, co masz na myśli?

- Jego bielizna ma takie kanty, jakby dopiero wyjęto ją z opakowania, ale to mu widać nie przeszkadza.

Mallory sądziła, że Jackson po prostu spojrzy na stosy męskich rzeczy, lecz nie będzie ich dokładnie sprawdzał.

- Grzebałeś w rzeczach Stevena? - spytała z gniewem.

- Ależ skąd - odrzekł niewinnie. - Po prostu czegoś szukałem.

Mallory nie czuła się zobowiązana do szczerości wobec Jacksona ani wyjaśniania mu czegokolwiek.

- I znalazłeś? - spytała chłodno.

- Niezupełnie, ale powiedz mi, czy jest jakiś powód, dla którego jego bielizna wygląda na nie noszoną?

Spojrzała na niego uważnie. Jackson wyraźnie chciał ją zwabić w pułapkę, ale prędzej umrze, niż przyzna się do kłamstwa, pomyślała.

Miała zamiar walczyć.

- Jest uprasowana. Steven bardzo dba o swoje rzeczy. Lubi czystość i porządek.

- Cecha godna pochwały. - Jackson skinął głową, udając, że bierze wyjaśnienia Mallory za dobrą monetę.

- Czyżbyś mi nie wierzył?

- To fakt - zaczął. - Nie mogę pojąć, dlaczego kłamiesz, że masz kochanka?

- Wcale nie kłamię! - Mallory wybuchnęła gniewem. - Słuchaj, Steven jest daleko, ale wróci, bo tu jest jego rodzina i rzeczy - dodała, wyłączając gaz.

- To prawda - zgodził się Jackson.

Wiedzioną impulsem Mallory chwyciła go za rękę i pociągnęła do sypialni.

- Chodź tutaj! - krzyknęła, otwierając szafę i wyciągając stertę męskich koszul. - Popatrz!

- Są w dobrym guście - przyznał uprzejmie Jackson. - Widzę, że lubi nie tylko sztywną bieliznę, ale i koszule - rzekł, oglądając starannie ułożoną stertę.

Mallory miała dość tych uwag.

- Są po prostu świeżo uprane i wyprasowane - wyjaśniła z dumą w głosie.

Chociaż kochała się z Jacksonem niemal codziennie, nigdy nie zaproponował jej wspólnego zamieszkania. W skrytości ducha ciągle miała nadzieję, że to zrobi, a teraz pragnęła tylko, by zaczął być zazdrosny o Stevena.

Boże, zachowuję się, jakby ten facet naprawdę istniał, pomyślała, czując ból w sercu.

- Sądzę, że Steven jest masochistą, skoro ich nie czuje - powiedział Jackson przyjrzawszy się uważnie koszulom.

- O czym mówisz?

- O szpilkach - rzekł, wyciągając jedną. - W kołnierzyku tkwią szpilki. Nie wiem, jak Steven może nosić takie koszule. Przecież powinien coś czuć, jeśli, jako były członek sekty, jest normalny. - Jackson pozwolił sobie na dowcip.

Do licha, czemu Urszula nie okazała się bardziej przewidująca? Powinna była dokładniej przejrzeć rzeczy. Tyle tylko, że te koszule miały być przeznaczone do oglądania, a nie dotykania.

- Rozmiar trzydzieści osiem. - Jackson rzucił okiem na kołnierzyk i odłożył koszulę, a potem wziął do ręki kalesony. - Długie - zauważył. - Mogę sobie wyobrazić sylwetkę Stevena. Jest wysoki i chudy. Nie ma kłopotów z utrzymaniem równowagi?

- Jeśli próbujesz być sarkastyczny, nie zamierzam zaszczycać odpowiedzią twoich pytań.

Zwinęła rzeczy, wrzuciła je do szafy i wyszła z sypialni. Przypomniała sobie, że na dole zostawiła butelkę z odżywką, więc szybko zbiegła po schodach.

- Wcale nie mam takiego zamiaru. - Jackson dogonił ją w kuchni.

- Naprawdę?

- No dobrze. Pozwoliłem sobie na parę uwag, ale to dlatego, że jestem zirytowany.

Mallory sprawdziła temperaturę odżywki, rozpryskując parę jej kropeł na przegubie ręki.

- Nie masz prawa okazywać irytacji. Odszedłeś ode mnie, pamiętasz? - spytała gniewnie.

Pamiętał aż nadto dobrze.

- Nie ty mnie irytujesz, lecz ja sam siebie. Właśnie dlatego, że odszedłem. - Odczekał chwilę, a potem dodał. - Może przedwcześnie.

- Możliwe - zgodziła się.

Przez moment pragnęła wyznać, że Joshua jest jego synem, lecz wiedziała, że za chwilę będzie tego żałować. Lepiej zachować dumę. Tylko to jej pozostało. I synek, oczywiście.

Spojrzała na butelkę i powiedziała:

- A dziecko jest ciągle głodne.

- Lepiej idź i nakarm małego - zgodził się Jackson. - Co ci kupić? - spytał, przypominając sobie przyczynę, dla której zajrzał do sypialni.

Mallory zdjęła z lodówki magnetyczną zawieszkę do notatek, wzięła do ręki kartkę i ołówek.

- Zaczekaj chwilę. Zaraz zrobię listę zakupów.

Zanim Jackson wrócił ze sklepu, Mallory nakarmiła dziecko. Mały zjadł z apetytem i zasnął, pozostawiając matkę z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony była zadowolona, że Josh nie jest już głodny, z drugiej - czuła się winna, że go zawiodła.

Zeszła na dół. Jackson otwierał właśnie tylne drzwi, dźwigając w każdej ręce po cztery wypchane torby.

- Czemu dźwigasz to wszystko naraz?

Zwykle nie robił zakupów w podobny sposób. Nie zamierzał nawet tyle kupować, ale tak jakoś wyszło, że kolejne produkty same niemal wpadały mu do wózka.

- Nie znoszę chodzenia tam i z powrotem - powiedział, kładąc wszystko na stole.

- Nabawisz się przepukliny.

Mallory zaczęła rozpakowywać pierwszą torbę. Wydobywała kolejne paczki i czytała etykiety.

- A wiesz - wtrąciła mimochodem - Steven dzwonił.

- Kiedy wyszedłem?

Cóż za zbieg okoliczności, pomyślał Jackson, ustawiając kilkulitrowy pojemnik z mlekiem na dolnej półce lodówki. Mallory nie zwróciła uwagi na ton jego głosu.

- Dzwonił do mnie, nie do ciebie.

- Co miał do powiedzenia? Wspomniałeś mu o mnie? - zainteresował się Jackson, wypakowując ziemniaki.

- Tak - odrzekła z wysiłkiem, czując suchość w gardle. - Jest ci wdzięczny, że nam pomagasz - dodała i wyjęła z torby kilka opakowań odżywkki.

Wdzięczny? Jackson rzadko używał tego słowa.

- Jest lepszy niż ja - przyznał. - Będąc na jego miejscu, udusiłbym takiego Jacksona Caina.

- Widzę, że do reszty straciłeś dobre maniery - zauważyła Mallory z uśmiechem.

- Nie rozumiesz. Można być dyplomatą i mieć dobre maniery w różnych dziedzinach życia, ale nie w stosunkach męsko-damskich, które w takich ramach się nie mieszczą.

Mallory nie dała się złapać na tę przynętę. Nie zamierzała wracać do wspomnień.

- Na szczęście Steven tak nie myśli. Jest rozsądnym mężczyzną, nie żadnym zazdrośnikiem.

Jackson prychnął zniecierpliwiony. W jego książkach taki bohater nigdy by się nie pojawił. To nie zalety, lecz brak charakteru.

- Prawdziwe lody waniliowe.

- Gdzie? - Mallory rozejrzała się wśród zakupów. Jackson stanął między nią i stołem, zmuszając, by patrzyła tylko na niego.

- Nie „gdzie”, lecz „kto”? Steven po prostu przypomina mi lody waniliowe. Dobry i słodki. A poza tym mało satysfakcjonujący.

- Mnie taki typ mężczyzny odpowiada.

Jackson wypuścił torbę z rąk. Jabłka jak czerwone kule potoczyły się po podłodze, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Nie wiedział, czy powinien wierzyć w istnienie Stevena Mitchella. Wątpił, ale jednocześnie miał świadomość tego, że jego wątpliwości rodzi zazdrość, która nim owładnęła.

Chwycił Mallory za ramiona, gdy próbowała schylić się, by pozbierać owoce.

- Naprawdę? - spytał.

- Tak - odrzekła stanowczo.

Nie mogła zranić go bardziej, nawet gdyby chciała.

- Odpowiada ci tak bardzo jak to? - zawołał i wiedziony instynktem przycisnął Mallory do siebie, a potem pocałował.

Nie miał zamiaru być łagodny. W ogóle nie pragnął się zmieniać. Chciał przypomnieć Mallory, jak między nimi było wcześniej. Przy okazji sobie też o tym przypomniał. I to aż za dobrze.

Miała usta jak jedwab. Przytulił ją mocniej. Czuł bicie jej serca. A może to jego własne uderzało tak mocno? Nie miał pewności. Nie był pewien niczego poza tym, że w takiej chwili człowiek tylko z największym trudem może nad sobą zapanować.

Mallory jęknęła, bezwolnie poddając się wybuchowi namiętności obudzonej pocałunkiem. Nic się nie zmieniło. Jackson ciągle miał nad nią władzę. Zapragnęła spełnienia. Nie pozostało nic innego, jak tylko błagać o zmiłowanie.

Muszę się powstrzymać, pomyślał z rozpaczą Jackson. Za chwilę może być za późno.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mallory zabrakło tchu. Pocałunek tamował oddech. Wydawało się, że wszystko wokół nagle się zakołysało, a może Mallory kręciło się w głowie.

Chciała się bronić. Coś powiedzieć.

- Nie jesteście rywalami, Jackson. Niczego nie da się skleić na nowo.

Zachowując resztki godności, wyszła z kuchni na uginających się nogach. Nie miała pojęcia, jak udało się jej nie upaść, zanim doszła do salonu.

Opadła na kanapę. O Boże, pomyślała, dotykając warg, które jeszcze drżały po pocałunku. Boże! Boże!

Jacksonowi odebrało mowę. Był zupełnie odrętwiały, choć niektóre partie ciała palił mu ogień.

Jeśli dotąd nie miał pewności, czy Mallory kocha Stevena, teraz ją zyskał. Zraniony i rozgniewany, chciał sprawdzić tym pocałunkiem, czy Mallory choć trochę na nim zależy.

Dowiódł jej i sobie, że ciągle coś ich łączy. Czuł, że kocha Mallory, lecz to nie powód, by się jej narzucać. Ona wyraźnie nie pragnęła pocałunku. Następnym razem, a wierzył, że zdarzy się następny raz, do niej powinna należeć inicjatywa. Musi zdarzyć się coś, co ją przekona, że są dla siebie stworzeni.

Jackson wszedł do pokoju i zobaczył, że skulona Mallory siedzi na kanapie. Natychmiast ogarnęło go poczucie winy zmieszane z pragnieniem, by ją przytulić.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Mallory uniosła głowę, ale nie odwróciła się.

- Ja też - szepnęła.

Nawet nie wiesz, jak bardzo, pomyślała. Wstrząśnięty i pełen skruchy, Jackson opuścił pokój.

- Nic złego się nie dzieje. Wracasz do normalnego stanu. Wszystkie porody, które ostatnio przyjmowałam, poszły bardzo dobrze. W ciągu dwóch tygodni moje pacjentki odzyskały pełnię sił. Z tobą jest tak samo. - Doktor Pollack uśmiechnęła się do Mallory.

Uśmiech był nieco wymuszony, lecz nie miało to nic wspólnego ze stanem pacjentki. Ostatnie tygodnie ciąży dawały się lekarce we znaki. Szeroki lekarski fartuch, który dotąd doskonale maskował jej stan, przestał się w końcu dopinać na wystającym brzuchu. Sheila czuła się bardzo ociężała i niezgrabna.

Mallory ogarnął chłód. Wszystko traciło dla niej sens. Jeśli jest zdrowa, skąd trudności z karmieniem?

- Dlaczego straciłam pokarm? - spytała.

- To się zdarza. Dawniej mamki ratowały sytuację - powiedziała lekarka, zdejmując gumowe rękawiczki. - Brak pokarmu może wynikać z różnych przyczyn. Czasem wiąże się z zakłóceniem równowagi hormonalnej, czasem wynika z napięcia - rzekła i uważnie przyjrzała się dziewczynie.

Mallory i Sheila znały się wcześniej. Kilka lat temu dziewczyna pomogła lekarce kupić jej obecne mieszkanie. Widywały się dość często. Potem przez pewien okres nie miały ze sobą kontaktu, lecz gdy się spotkały, doktor Pollack odniosła się do niej z macierzyńską troskliwością.

- To naprawdę nie umniejsza twojej wartości jako matki - zapewniła Sheila, odgadując przyczyny niepokoju pacjentki.

- Wiem, ale... - Mallory przygryzła wargę z bezradności.

- Czuję się, jakbym w czymś zawiodła swoje dziecko.

- Ależ skąd. Przecież troszczysz się o nie, kochasz, żyjesz dla niego. - Lekarka uśmiechnęła się. Nie miała żadnych wątpliwości, że Mallory będzie wspaniałą matką.

- Brak pokarmu w niczym nie szkodzi twoim stosunkom z małym. Najważniejsza jest miłość - zapewniła doktor Pollack, wypełniając kartę pacjentki.

Mallory była zdrowa i miała zgłosić się dopiero za rok na badanie kontrolne.

- Wiem - odrzekła i pomyślała o swoich stosunkach z Jacksonem, w których brakowało właśnie miłości. Smutek w głosie pacjentki zaalarmował Sheilę. Odłożyła pióro i spojrzała jej w oczy.

- Czy jest coś jeszcze, co cię gnębi? O czym chciałabyś powiedzieć? Teraz jestem zajęta, ale możemy pójść na herbatę po piątej, jeśli do tego czasu nie zacznę rodzić - zażartowała.

Lekarka była przygotowana na każdą ewentualność. Wiedziała, że dzieci nie zawsze przestrzegają kalendarza. Jej własne miało przyjść na świat pod koniec kwietnia i wszystko wskazywało na to, że zjawi się punktualnie, lecz nie można było wykluczyć jakiegoś przyspieszenia.

Mallory pokręciła głową. Nikt nie mógł jej pomóc. Sama musiała znaleźć rozwiązanie swoich problemów.

- Nie. Nic mi nie jest - zapewniła, a doktor Pollack nie starała się na nią naciskać.

- W porządku. Jestem do twojej dyspozycji, jeśli zmienisz zdanie - powiedziała, biorąc Mallory za rękę.

Dotykem wyczuła przyspieszenie pulsu.

- Wszystko się jakoś ułoży. Bądź dobrej myśli i nie denerwuj się.

Mallory skinęła głową. W tym problem. Nie potrafiła się zrelaksować, dopóki Jackson był w pobliżu. W napięciu trzymało ją też przeświadczenie, że on wkrótce wyjedzie.

Najważniejszy jest Joshua, pomyślała wkładając ubranie. Po zapewnieniach lekarki czuła pewną ulgę. Chciała wierzyć, że może być dobrą matką, nawet jeśli karmi synka odżywką. Po drodze

do domu kupiła jeszcze kilka opakowań. Zapas, który Jackson przyniósł ze sklepu kilka dni temu, był już na wyczerpaniu.

Słyszając zgrzyt klucza w zamku, Jackson natychmiast odłożył gazetę. I tak nie potrafił skupić się na lekturze.

Dziesięć razy czytał ten sam akapit, nie rozumiejąc jego treści.

Ponieważ poranna praca nad książką poszła mu jak z płatka, nie czuł więc zaniepokojenia, chociaż może powinien ze względu na Mallory. Poszła na badanie przekonana, że coś z jej zdrowiem jest nie w porządku. Mógł ją zapewnić, że nie ma powodu do obaw, lecz wolała usłyszeć to od lekarki. Jackson miał nadzieję, że doktor Pollack rozwiała wszelkie wątpliwości Mallory.

- Co ci powiedziała? - zapytał. Mallory drgnęła na dźwięk jego głosu.

- Że mogę wrócić do pracy, jeśli chcę - odpowiedziała, zdejmując pantofle i stawiając torebkę na stoliku poniżej lustra.

Wziął od niej puszkę z odżywką i zaniósł je do kuchni. Nie takiej informacji oczekiwał, lecz zanim zdążyła cokolwiek dodać, spytał wiedziony ciekawością:

- A chcesz tego?

Zmęczona, usiadła na kanapie w pokoju i położyła nogi na małym stoliku do kawy.

- Nie chodzi o moje chęci. Muszę zarabiać na utrzymanie. Jackson wrócił z kuchni i zbliżył się do kanapy. Patrzył na Mallory i bezustannie podziwiał jej urodę.

- A co ze Stevenem? Nie ma żadnych obowiązków? - spytał z wyraźną kpinią w głosie.

- Nie chcę, by czuł się zmuszony do płacenia za cokolwiek - odrzekła, głośno wypowiadając prawdziwy powód, dla którego dotąd zachowywała w tajemnicy fakt, kto jest ojcem jej dziecka. Jackson nie pojął ukrytego sensu. Usiadł na kanapie, skrzyżował ręce na piersi i uważnie przyjrzał się Mallory.

- Czyżby coś zakłócało wasze harmonijne pożycie? Mallory nie była aż tak zmęczona, by nie móc wpaść w gniew. Zdjęła nogi ze stolika. Jackson nie kochał jej wystarczająco, by z nią zostać, a teraz próbował zniszczyć jej domniemany związek z innym człowiekiem.

- Jeśli są jakieś problemy, to wyłącznie z twojej przyczyny.

Jackson nie znosił, gdy zaczynała stawać w obronie Stevena. Dotąd nie przypuszczał, że może odczuwać aż taką niechęć do nie znanego mu mężczyzny.

- Robisz ze mnie jakieś uosobienie zła. Popatrz, nie mam ani rogów, ani diabelskich kopyt - rzekł, przysuwając się do Mallory, choć nie tak blisko, jak by tego pragnął.

- Diabelskie znamię jest tutaj - powiedział, wskazując na dołeczek w podbródku.

Mallory wiedzona nagłym impulsem zamachnęła się i spoliczkowała go nagle. Spojrzał na nią zaskoczony, a Mallory poczuła wyrzuty sumienia.

- Wybacz. Chyba nie panuję nad sobą - wymamrotała. Potarł twarz, bardziej oszołomiony niż obolały.

- Możliwe - przyznał. - A co z twoimi pozostałymi problemami? - zapytał.

- Wszystko w porządku. - Wzruszyła ramionami i wstała, chcąc odejść.

Miała wrażenie, że za chwilę rozszałe się burza, choć niebo za oknem było czyste.

- Po prostu nie mam pokarmu. To się zdarza.

- Nie wyglądasz na osobę, która się z tym pogodziła.

- Bo nie potrafię się z tym pogodzić - wybuchnęła. - Odbieram to jako porażkę.

- Dlaczego? Z powodu niedostatku pokarmu?

- Wydaje ci się to głupie, prawda?

- Oczywiście. Joshua najbardziej potrzebuje twojej miłości, a to mu zapewniasz.

Uśmiechnęła się, jakby odczuła ulgę.

- Tak powiedziała lekarka.

- Mądra kobieta.

Jackson tylko raz zetknął się z doktor Pollack, lecz to, co zobaczył, zrobiło na nim dobre wrażenie. Uznał, że ma do czynienia z wyjątkowo kompetentną osobą.

- Czemu jej nie posłuchasz? - spytał, podchodząc do Mallory i kładąc ręce na jej ramionach. Znowu jej dotykał. Odwróciła się, zamierzając skłonić go, by się odsunął.

- Wiem, że powinnam.

Uwielbiała, kiedy jej tak dotykał. Czuła się wspaniale, gdy ją trzymał w ten sposób i sprawiał, że całe ciało przenikały cudowne dreszcze. Ale już nic między nimi nie będzie. Mallory nie zakocha się w Jacksonie jak za pierwszym razem. Ma to już za sobą.

Poznała miłość od podszewki i to z najgorszej strony. Po gorącym uczuciu pozostała jej tylko garstka popiołu. Za nic na świecie nie chciała doświadczyć tego jeszcze raz.

Mallory zeszywniała pod dotykiem Jacksona, ale nie potrafiła go od siebie odepchnąć.

- Łamiesz zasadę numer dwa - mruknęła.

- Tylko trochę ja naruszam - odrzekł i przesunął dłońmi po odkrytych ramionach Mallory. -

Wyglądasz, jakbyś potrzebowała kogoś, kto mógłby podtrzymać cię na duchu - zauważył, przyciągając ją do siebie tak blisko, by odczuć ciepło jej ciała. - A ja zgłaszam się na ochotnika. Nawet więcej, pomyślał. Po chwili odczuł drżenie jej ciała.

- Mallory, ty płaczesz?

- Znowu hormony szaleją - odrzekła, szybko ocierając oczy.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział. - Czasem trudno zapanować nad hormonami.

Pochylił głowę i scałował łzę, które zawisła na rzęsach Mallory, a potem dotknął wargami jej policzka.

- Słone - zauważył.

Serce podeszło jej do gardła, gdy spojrzała Jacksonowi w oczy.

- Łzy zawsze są słone.

- Od urodzenia przepadałem za solą.

Przesunął palcami po szyi Mallory, odchylił jej głowę, wargami znalazł spragnione usta dziewczyny. Czuł bicie jej serca tuż przy swoim. Uderzały w tym samym rytmie. Tak bardzo za nią tęsknił. Ciało wezbrało pożądaniem. Jackson opanował się z wielkim wysiłkiem, lecz nie potrafił się od niej odsunąć. Czuł się jak ktoś, kto dostrzegł wreszcie światło po długim błędzeniu w tunelu. Jeśli będzie trzeba ponieść karę, poniesie ją, byle tylko odzyskać Mallory. Jęknęła, kiedy pogłębił pocałunek. Dłońmi próbowała go odepchnąć, lecz na nic się to nie zdało. Ręce ją zdradziły. Nie chciały słuchać rozsądku, lecz ucuć. Otoczyła ramionami szyję Jacksona. W tej chwili czuła, że życie jest piękne.

Całował ją coraz mocniej i mocniej. Mallory wydawało się, że ziemia usuwa się jej spod nóg, a znad głowy znika sufit. Ważny był tylko pocałunek. Jackson pieścił dłońmi jej ciało, pobudzając pragnienia, za którymi tęskniła podczas długich, samotnych nocy. Wszystko było jak za pierwszym razem, pomyślała. Może nawet bardziej ekscytujące, bo po okresie długiej przerwy wypełnionej marzeniami. Pragnęła kochać się z Jacksonem bardziej niż czegokolwiek w życiu. Jeśli to było szaleństwo, to zapewne oszalała. Potem pomyśli o skutkach. Teraz chciała jednego. Żeby nie opuszczało jej to cudowne przeświadczenie, iż jest znowu kochana.

Tylko Jackson Cain potrafi dać jej taką pewność. Ale też jedynie on umie bezlitośnie cię zranić, szeptał Mallory wewnętrzny głos. Nie chciała go słuchać. Może później, teraz nie była w stanie myśleć.

Do ciała, zachowywał się jak zwierzę. Jackson nienawidził momentów, w których tracił nad sobą kontrolę. Z trudem złapał oddech i odsunął od siebie Mallory.

- Jeszcze chwila i nie zapanuję nad sobą - szepnął, czując, że to ostatnia chwila na ostrzeżenia. Mallory drżały usta. Miała przymglone oczy, gdy potrząsnęła głową.

- No to nie - powiedziała.

Jeszcze przez moment ostatkiem woli trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki.

- Dwa tygodnie temu urodziłaś dziecko. Uśmiechnęła się, ujmując jego twarz w dłonie. Boże. jak bardzo kochała tego człowieka.

- Lekarka powiedziała, że wszystko jest w porządku - rzekła ze świadomością, iż wydaje na siebie wyrok, ale nie dbała o to. - Po dwóch tygodniach mogę już mieć stosunki z mężczyznami. Nie potrafiła wymówić słów: „uprawiać seks”. Nie chciała o tym myśleć w takich kategoriach.

- Dowiadywałaś się? - spytał zdumiony.

- Nie wprost, ale to wynikało z kontekstu - rzekła, pragnąc pieścić wargami jego skórę, zagubić się w mroku, poczuć smak i zapach męskiego ciała.

Pocałowała go w szyję. Wtedy Jackson zamknął ją w ramionach. Zadrżała, gdy poczuła, jak bardzo jest podniecony. Uwierzyła, że przynajmniej w tej chwili należy wyłącznie do niej. To jej wystarczało. Musiało wystarczyć. Pozwoliła się ogarnąć namiętności.

Jackson pragnął dać jej jeszcze jedną szansę. Chciał zachować się po rycersku wobec dziewczyny, która zawsze wyzwalała w nim najlepsze instynkty. Lecz nie mógł. Tym razem nie był w stanie. Tak bardzo pragnął Mallory, że już nie potrafił się opanować. Nawet gdyby zależało od tego jego własne życie.

Wolno przesunął wargami po twarzy Mallory, ucząc się jej rysów jak ślepiec. Drżącymi palcami rozpiął bluzkę. Czuł się jak chłopak, który czyni to po raz pierwszy.

A może z Mallory tak właśnie miało być? Z nią czuł się inaczej niż z jakąkolwiek kobietą. Sprawiała, że stawał się jednocześnie opiekuńczy i spragniony opieki. Czuł się jak żebrak, który kołaczę do kuchennych drzwi w nadziei, że zostanie wpuszczony. Dzięki tej kobiecie doświadczał takich odczuć, jakich nie zaznał nigdy i nigdzie.

Mallory westchnęła, gdy przykrył dłonią jej piersi. Poczowała, że twardnieją jej sutki. Z rękami wspartymi na ramionach Jacksona wygięła się do tyłu, pragnąc więcej i więcej. Nie zrobiła niczego niezwykłego, ale ten gest całkowitego oddania sprawił, że Jacksona ogarnął płomień namiętności.

Jedno, co mógł zrobić, to nie zedrzeć z Mallory ubrania i nie posiąść jej od razu tutaj na podłodze, choć pożądanie zamieniało go w dziką bestię. Nadludzkim wysiłkiem starał się zapanować nad miotającym nim pożądaniem, byle nie przestraszyć Mallory. Dla jej dobra gotów był zrobić wszystko. Zasługiwała na coś więcej niż zachowanie godne prymitywnego wikinga.

Pragnął, by zapamiętała tę chwilę. Kiedy znowu pomyśli o Stevenie i o życiu u jego boku, powinna przypomnieć sobie tę miłość. Chciał nawet więcej - zatrzymać ją przy sobie na zawsze. Przesuwając wargami po twarzy i szyi Mallory, czuł, jak ogarnia ją namiętność. Męskie ręce stawały się coraz bardziej natarczywe. Jeszcze i jeszcze. Z rozkoszą zmuszał Mallory do krzyku. Pożądał jej tak, jak tego pragnęła. Dodawał jej skrzydeł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jackson pomyślał, że jeśli da ujście namiętności, oboje stracą kontrolę nad sytuacją, jeśli zaś natychmiast nie zaspokoi pragnień, pewnie eksploduje. Wziął głęboki oddech i odsunął Mallory od siebie. Na ustach czuł smak jej warg, lecz pragnął czegoś więcej. Ona zresztą również.

- Powiniennem cię ostrzec.

Mallory, oszołomiona pragnieniem, widziała go jak przez mgłę.

- Co takiego? - spytała.

Jackson czuł, że jeszcze chwila i nie będzie odwrotu. Jak mógł kiedykolwiek przypuszczać, że odgrywa w ich związku dominującą rolę? Przecież wszystko zależało od Mallory.

- Przez osiem miesięcy nie miałem kobiety.

- Naprawdę? - spytała ze zdumieniem.

Nie oczekiwał, że mu uwierzy. Kiedy byli ze sobą, kochali się niemal codziennie. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś tak lubiący seks i tak namiętny jak Jackson, mógł żyć w celibacie.

- Owszem - rzekł, ujmując twarz Mallory w dłoń i przez chwilę zadowolając się taką bliskością.

W jaki sposób, bez narażania na szwank własnej dumy, miał sprawić, by go zrozumiała? Jak powiedzieć Mallory, co do niej czuje i nadal pozostać w jej oczach mężczyzną? Pragnął dziewczyny tak bardzo, iż wszystko inne wydawało się nieważne.

- Spotykałem się z kobietami, lecz nie potrafiłem się z nimi kochać. Odkąd poznałem ciebie, żadna inna nie wydawała mi się interesująca.

Więc dlaczego odszedł? Słowa Jacksona nie miały sensu. Dla Mallory brzmiały jak jedna z historii, które opowiadał w swoich książkach. Ale wiadomość, że nie nawiązywał erotycznych stosunków z kobietami, bardzo ją podnieciła. To nic, że mógł ją znowu opuścić, bo tacy mężczyźni nie wytrzymują długo w trwałych związkach. Teraz był tuż obok, na wyciągnięcie ręki, i tylko to wydawało się ważne. Jeśli za chwilę nie zaczną się kochać, Mallory nie poradzi sobie z własnymi odczuciami.

Zachęcającym gestem dotknęła policzka Jacksona.

- Masz sporo do nadrobienia - powiedziała.

Tylko na to czekał. Przesunął palcami po włosach Mallory, odchylił głowę tak, by jej wargi znalazły się na wysokości jego ust. Wstrzymała oddech i zaczęła drżeć na całym ciele. Nie była w stanie opisać własnego podniecenia. Wydawało się, że aż do tej chwili po prostu nie żyła, że przez ostatnie miesiące trwała w jakimś letargu.

Trzęsącymi się rękami zaczęła rozpinać mu koszulę. Pragnęła znowu dotknąć rozgrzanej, męskiej skóry. Musiała się przekonać, że to nie sen. Bardzo się spieszyła.

Powstrzymał jej dłoń.

- Chcesz iść do łóżka? - spytał cicho.

- Tak.

Mallory zwilżyła językiem wyschnięte wargi. Smakowała wypowiedziane przed chwilą słowa. Jackson pochylił się, by wziąć ją w ramiona, lecz pokręciła głowę. Nie potraktowała dosłownie tego, co powiedział. Nie miała zamiaru iść na górę. To zabrałoby zbyt wiele czasu, a ona była taka zniecierpliwiona.

- Tu, na kanapie.

Jak za pierwszym razem, pomyślała. Znali się wówczas jeszcze bardzo krótko, lecz był to jeden z tych związków, o których z góry wiadomo, że doprowadzą do spełnienia. Na kanapie spędzili wtedy całą noc. Wcale nie wchodzili do sypialni. Wszystko układało się w logiczną całość, skoro dziś po raz ostatni też mieli się tu kochać.

Nie chciała o tym myśleć. Ważna była wyłącznie chwila. Mallory pragnęła doznać rozkoszy.

Całą sobą dążyła do spełnienia. Kochaj mnie jeszcze ten raz, dla mnie ostatni raz w życiu, pomyślała.

Pragnęła należeć do Jacksona. Drżała, gdy powoli zsuwał jej rękawy bluzki z ramion. Tak długo na to czekała, nie wiedząc, czy właściwa chwila w ogóle nadejdzie. Tęskniła za dotknięciami, pocałunkami tego mężczyzny, jakby były jedyne na świecie. Teraz wiedziała, że Jackson ją kocha tak mocno, jak tylko potrafi. Ofiarowywał siebie. Nikt nie mógłby domagać się więcej. Mallory ogarnęła czułość i uniesienie.

Pospiesznie zdejmowali z siebie nawzajem ubrania. Bluzka Mallory spadła na podłogę obok koszuli Jacksona. Po chwili znalazł się tam również jej staniczek.

Mallory miała ochotę krzyżeć z radości, widząc pożądanie w oczach Jacksona. Podobnie patrzył na nią kiedyś, lecz teraz jego spojrzenie płonęło intensywniejszym ogniem.

Jackson przesunął dłońmi po jej ciele, przypominając sobie znane kształty. Przeklinał myśl o innym mężczyźnie, który zajął jego miejsce u boku Mallory. Przeklinał siebie za to, że przyczynił się do tego własnym odejściem.

Jak krem, słodki krem, pomyślał, dotykając jej skóry. Wsunął dłonie pod majteczki Mallory. Ciągłe nosiła bardzo skąpą bieliznę, zauważył z uśmiechem. Krew w nim wrzała, gdy dotykał skrawka atlasowej materii, gwałtownie zdzierając go z bioder dziewczyny. Całował każdy centymetr jej skóry.

Mallory oddychała coraz szybciej, czując na pośladkach pieczętę gorących dłoni. Po chwili Jackson przycisnął ją tak mocno, że mogła odczuć napięcie męskiego ciała wypełnionego pulsującym rytmem podniecenia. Szarpnęła zamek, rozpinając mu džinsy.

Jest taka słodka w zniecierpliwieniu, pomyślał. Widok podnieconej Mallory działał na niego w niewyobrażalny sposób. Żadne słowa nie mogły wyrazić tego, co czuł w tej chwili. Po raz pierwszy od ośmiu miesięcy wiedział, że żyje.

Jak mógł tak długo się oszukiwać, że jest w stanie bez niej egzystować? Przecież Mallory to największa namiętność jego życia. Wsunął palce między uda dziewczyny. Patrząc jej w oczy, rozpoczął wędrówkę ku najintymniejszym zakątkom ciała. Pieścił coraz intensywniej i bardziej czule, wielokrotnie doprowadzając ją do orgazmu.

Widział, jak pręży się i sztywnieje pod jego dotknięciem, jak gwałtownie chwyta go za ramiona. Słyszał, jak szepcze jego imię. Szept przechodził w jęk, gdy pieczętami doprowadzał ją do kolejnej ekstazy, a potem następnej i następnej.

Mallory drżała. Zastygała w spazmie rozkoszy, wyginając się pod naciskiem męskiej ręki.

Milcząco błagała o jeszcze, słabnąc po jednym szczytowaniu i tonąc w rozkoszy przed kolejnym. Miała całkowitą pewność, że nikt nigdy nie dał i nie da jej tyle szczęścia.

Rozebrani do naga, spleceni ciałami w jedno osunęli się na kanapę, a potem stoczyli się w uścisku na podłogę. Lecz żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

Jackson pragnął posiąść Mallory na tysiąc różnych sposobów, przedłużać jej rozkosz w nieskończoność. Mieć ją całą teraz, natychmiast. Pożądanie rozsadało go od wewnątrz. Mallory należała do niego, wyłącznie do niego, nawet jeśli innemu urodziła dziecko. Nie miało już znaczenia, że była ze Stevenem, podczas gdy on spędzał bezsenne noce.

Czuł to każdą cząsteczką ciała. Mallory nie reagowałaby w ten sposób na pieczętę, gdyby w jej życiu był inny mężczyzna. To przeświadczenie dodało mu sił. Nie czuł się już poniżony, a raczej wdzięczny losowi za taki obrót sprawy.

Był spragniony tej dziewczyny jak żadnej innej na świecie. Całował ją coraz gwałtowniej, aż zaczęła mu się wić w ramionach i bez przerwy powtarzać jego imię.

Wargi Jacksona wzniecały płomień w całym ciele Mallory. Pocałunki doprowadzały ją do szaleństwa. Jeszcze chwila i zacznie krzyżeć z rozkoszy. Poruszała się gwałtownie w rytmie

narzucanym pieszczotami. Wreszcie schwyciła Jacksona za ramiona, próbując zmusić go do przyspieszenia akcji. Dygotała z podniecenia.

- Teraz, Jackson, teraz!

Gdyby mógł mówić, przyznałby, że to najlepsza propozycja, jaką ostatnio usłyszał, lecz emocje odebrały mu głos. Wyciągnął się wzdłuż ciała Mallory i ujął jej twarz w dłonie. Patrząc jej prosto w oczy, głęboko wszedł w jej ciało. Wreszcie był w domu.

Przyłgnęli do siebie biodrami, poruszając się w namiętym rytmie tak, by przeżyć wspólnie moment najwyższej ekstazy. Wyczerpany rozkoszą Jackson starał się nie zmiażdżyć swoim ciałem kruchych kształtów Mallory. Wsparł się na łokciach, próbując odzyskać pełnię świadomości. Po gwałtownym wybuchu emocji nie był w stanie przypomnieć sobie nawet własnego nazwiska.

Przez chwilę delektował się po prostu biciem serca Mallory, które słyszał tuż przy własnym. Odgadywał, że ona czuje to samo i ta myśl sprawiała mu przyjemność.

W oczach Mallory lśniły łzy szczęścia zmieszane ze łzami żalu. Nie powinna była dopuścić do zbliżenia. Gdzieś z boku czaił się smutek i wiedziała, że niedługo ją dopadnie. Nic na świecie, nawet namiętne chwile, które przed momentem przeżyła, nie były w stanie jej przekonać, że Jackson już więcej nie odejdzie. Zrobił to przecież w sytuacji, która wyglądała na idylliczną. Teraz sprawy się skomplikowały, więc nic go tu nie zatrzyma.

Jackson uniósł się na łokciach i delikatnie pocałował Mallory w czoło. Rozejrzał się wokół, jakby dopiero teraz odzyskał świadomość.

- Spadliśmy - zauważył z uśmiechem, wskazując na kanapę.

Mallory leżała na podłodze z włosami rozrzuconymi po dywanie.

- Tak, spadłam - rzekła, odgarniając kosmyk z twarzy. Nie podobało mu się, że powiedziała „ja”, a nie „my”.

W tonie jej głosu usłyszał żal, a nie chciał, by czegoś żałowała. Pochylił się i pocałował ją w szyję. Poczuł, że zeszywniała, zamiast się rozluźnić. Spróbował zebrać myśli.

- Co się stało? - zapytał.

Odwróciła wzrok. Wyrzuty sumienia przyszły prędzej niż się spodziewała.

- Nic - odrzekła i zacisnęła wargi.

Ujął ją za podbródek i zmusił, by spojrzała mu w twarz. Oczy Mallory wypełniał smutek.

- Nie mów tak. Przecież widzę, że jesteś oszołomiona i zakłopotana.

Mallory ochłoneła. Sięgnęła po jedną z poduszek i ściągnęła ją na podłogę. Przykryła się nią, lecz nie dość skutecznie, by powstrzymać dreszcze.

- Czemu nie miałabym być? - W obawie, że się rozplacze, Mallory specjalnie użyła lekkiego tonu. - Dorota porwana przez tornado do krainy Oz nie czuła się pewnie dużo lepiej.

Uśmiechnął się, gładząc jej biodro. Zdumiewało go, że zaledwie dwa tygodnie temu urodziła dziecko, a brzuch miała zupełnie płaski i taką sprężystą skórę.

- A więc byłaś w krainie Oz? - spytał, pragnąc by tak właśnie się czuła, całkowicie oderwana od rzeczywistości i wyzwolona z jej więzów, skoro i on przeżył coś podobnego.

Mallory westchnęła.

- Rzeczywiście znalazłam się w nieznanym przestrzeni, której nie zwiedzałam wcześniej nawet z tobą.

To chyba dobrze, pomyślał, ale pragnął czegoś więcej.

- A ze Stevenem?

- Nawet z nim.

Mallory usiadła gwałtownie i sięgnęła po ubranie. Nie chciała brnąć w kłamstwa. W ruchu jej ramion było coś, co zaalarmowało Jacksona. Jakaś obcość, dystans. Znowu wyrastała między nimi bariera. Podniósł się i przygarnął Mallory do siebie. Chciał wyjaśnić sytuację, usunąć wszystkie niedomówienia.

- To ze mną się kochałaś, nie ze Stevenem - powiedział, pragnąc, by zrozumiała, że to jego kocha, a nie tamtego mężczyznę.

- Wiem, popełniłam błąd - odparła.

Słowo „błąd” spadło jak grom z jasnego nieba. Jackson poczuł się zraniony. Zaciśnął szczęki. Stwardniały mu rysy, które jeszcze przed chwilą Mallory pokrywała pocałunkami.

- Myślałaś, że jestem Stevenem? A ja sądziłem, że rozpoznajesz tylko pewne części mego ciała - zauważył z goryczą. - Może należało pokazać dokumenty, zanim cię rozebrałem?

- Nie - rzekła i uniosła głowę z całą godnością, na jaką było ją stać. - Po prostu nie powinnam była się z tobą kochać. To wszystko. Popełniłam błąd.

Zagryzła wargi. Z trudnością wypowiadała wszystkie te kłamstwa, ale co innego jej pozostało, jeśli chciała uniknąć pokusy i nie skompromitować się ostatecznie. Tak jak za pierwszym razem, gdy się w nim zakochała bez pamięci i nie potrafiła jasno myśleć, podczas gdy Jackson zlekceważył jej uczucia. Na pewno tak było, skoro odszedł.

Odkasznęła i spróbowała powiedzieć coś sensownego, ale w głowie czuła jedynie zamęt. Mimo wszystko spróbowała.

- Steven... - zaczęła.

- Do diabła ze Stevenem! - krzyknął. - Znam cię. Nie mogłabyś ze mną się kochać, gdybyś coś czuła do tego faceta.

Jackson poderwał się z podłogi, pociągając ją za sobą. Trzymał Mallory za ramiona, by mu się nie wyrwała. Kiedy skrzywiła się, zrozumiał, że ściskają zbyt mocno. Zmusił się do rozluźnienia uchwytu, wierząc, że zatrzyma ją na miejscu słowami.

- Nie jesteś taka. Powiedz, co was łączy? - zażądał. Wiedział, że to nie może być miłość. Serce Mallory należało do niego. Przed chwilą to udowodniła.

W oczach Mallory zalśniły łzy. Wypowiedziała słowo, które całym sercem pragnęła zastosować w tej właśnie sytuacji.

- Zobowiązanie.

- Jakie zobowiązanie? - zadrwił. - Urodziłaś mu dziecko, a on się nawet nie ma zamiaru z tobą ożenić.

- Co ty o tym wiesz? - odrzekła.

W umyśle Mallory zrodziła się nowa historia.

- Steven chce się ze mną ożenić, ale...

Ciekawe, kiedy, pomyślał Jackson i z posagową miną skrzyżował ręce na piersi.

- Ale co? - zapytał.

- Nie muszę go przed tobą tłumaczyć - odrzekła. - Już ci mówiłam, że nie chcę go do niczego zmuszać. Pragnę, by zrobił to z miłości.

- Więc cię nie kocha?

Ze też nie wpadł na to wcześniej. Musiała związać się ze Stevenem dla zemsty.

Mallory zamierzała opuścić pokój. Jackson powstrzymał ją i odwrócił twarzą ku sobie. Musiał widzieć jej oczy, by się upewnić.

- A może ty go nie kochasz?

Trzęsła się ze zdenerwowania, próbując nie patrzeć w oczy kochanka.

- Steven jest dobry, miły, szanuje mnie. Nie o to pytał.

- Posiada wiele zalet, ale pytam o miłość. Kochasz go?
- Tak. - Nie miała innego wyjścia. Musiała wypowiedzieć największe kłamstwo. Jacksonowi pociemniały oczy. Kobieta, z którą przed chwilą kochał się na dywanie, nie mogła pożądać nikogo oprócz niego.
- Nie wierzę - powiedział.
- To twój problem - odrzekła Mallory i uwolniła ramię z uchwytu. Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się płacz dziecka. Dziękuję ci, Joshua, pomyślała Mallory. Uratowałeś swoją mamę.
- Wybacz - chłodno zwróciła się do Jacksona - lecz muszę zająć się małym. Dziękuję, że zaopiekowałeś się nim, gdy byłam u lekarki.
Nie był w stanie wyrzec ani słowa. Odwrócił się szybko i ruszył, żeby się ubrać. Jeszcze przez sekundę widział, jak Mallory, trzymając w ręku ubranie, wychodzi z pokoju. Na schodach wyglądała jak naga księżniczka.
Był wściekły, a mimo to ciągle jej pragnął. To pewnie kara za to, że ją niegdyś porzuciłem, pomyślał. Do śmierci będę się z tym męczył. Ale, jak mówią, dopóki się żyje, jest jakaś nadzieja, pocieszył się w duchu. Skoro Stevena nie ma, trzeba to wykorzystać.
Jackson nie wątpił, że Mallory go kocha. Ktoś tylko musi jej to uświadomić, a on posiada przecież zdolności perswazyjne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mallory wyprowadziła wózek i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zamierzała pospacerować z dzieckiem. Pragnęła uporządkować myśli po wczorajszym zajściu z Jacksonem. Był wspaniały kalifornijski ranek. Łagodny wietrzyk rozproszył mgłę. Po niebie przemykały chmurki białe jak kłębki bawełny, lecz Mallory bardziej niż niebo interesowała ziemia, po której stąpała. Jak doświadczona agentka obrotu nieruchomości wprawnym okiem wyceniała mijane, przeznaczone na sprzedaż domy. Nic się nie zmieniło przez ostatnie dwa tygodnie. Od razu uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni za pracą. Swoje zajęcie traktowała jak misję spełniania ludzkich marzeń. Każdy sprzedany obiekt stanowił ich ucieleśnienie. Nowy dom zawsze otwierał nieskończoną liczbę potencjalnych możliwości. Ściany można było obniżyć, pokoje powiększyć i zmienić ich przeznaczenie. Wystarczyła odrobina wyobraźni oraz energii. Mallory była szczęśliwa, gdy udawało się jej skojarzyć ludzi z właściwym pomieszczeniem i ustalić warunki finansowe odpowiadające ich możliwościom. Każdą transakcję traktowała jak wyzwanie, a teraz brakowało jej tego dreszczyku emocji.
Przecież jej obecna sytuacja życiowa też ma w sobie coś z wyzwania, pomyślała. Jacksona poznała w swoim biurze.
Przyszedł, by wynająć mieszkanie. Nie kupić, lecz wynająć. Powinna była przyjąć to jako ostrzeżenie i trzymać się od niego z daleka. Zamiast tego pomogła mu znaleźć odpowiednie locum i widywała się z nim później.
Zbliżając się do drzwi, spojrzała na dziecko. Chłopczyk miał zaróżowione policzki.
- Podobał ci się spacer - mruknęła, wchodząc do mieszkania.
Kiedy Jackson wyszedł z kuchni, serce Mallory zabiło gwałtownie. Myślała, że uda się jej przemknąć do sypialni i nie spotkać go. Od wczoraj wymienili nie więcej niż pięć zdań. Za każdym razem, gdy Jackson chciał coś powiedzieć, Mallory znajdowała pretekst do opuszczenia pokoju. Uciekała przed nim.

Powinnam zażądać, żeby się wyprowadził, pomyślała. Nie było to łatwe, lecz udawanie, że nic nie zaszło, stawało się coraz trudniejsze.

Jackson trzymał jabłko w ręce i patrzył na Mallory. Była bardzo zdenerwowana. Wyglądała jak królik ścigany przez myśliwego, a on nie chciał występować w roli prześladowcy. Zwykle to kobiety starały się go usidlić, zwrócić jego uwagę, podczas gdy on zachowywał stoicki spokój. Tym razem sytuacja odbiegała od schematu.

- Był do ciebie telefon, kiedy wyszłaś - powiedział.

Już miała opuścić pokój, lecz zatrzymała się na dźwięk tych słów. Co się z nią działo? Przecież jest we własnym domu. Jeśli ktokolwiek powinien stąd odejść, to on, a nie ona, pomyślała.

- Kto dzwonił? - spytała, spoglądając na Jacksona. Usiadł na kanapie i jadł jabłko. Nie miała pojęcia, czemu widok jego warg gryzących owoc działa tak podniecająco.

- Steven - odrzekł, uważnie patrząc jej w oczy. - Powiedział, że Alaska tak przypadła mu do gustu, iż zamierza tam zostać w charakterze eksperta.

Mallory usiadła na stołeczku i zaczęła zdejmować Joshui żółty kaftanik.

- Steven wcale nie dzwonił - stwierdziła.

- Dlaczego tak sądzisz? - Jackson uśmiechnął się.

Był coraz bardziej przekonany, że żaden Steven nie istnieje, a Mallory wymyśliła go, by z sobie tylko znanych powodów stworzyć między nimi barierę. Tylko dlaczego? Przecież było im razem tak dobrze. Czemu nie chciała pozwolić, by naprawił wszystkie błędy?

- Bo Steven nie mógłby czegoś takiego powiedzieć. Kiedy z nim ostatnio rozmawiałam, twierdził, że już nie może się doczekać powrotu. Chodzi o to, że pojawiły się pewne trudności i będzie musiał zostać nieco dłużej. Ale nie na stałe. On nie znosi zimna. Trudno go namówić nawet na zimowe wczasy, więc zamieszkanie na Alasce w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jackson zmarszczył brwi. Wyszedł, by wyrzucić ogryzek, i zaraz wrócił. Wyglądał jak mały chłopiec, który nabroił.

- Nie można winić faceta, że próbuje - powiedział, spoglądając na niemowlę, które zaczęło się ślinić.

Odwrócił się, sięgnął po chusteczkę higieniczną i podał ją Mallory, wskazując na buzię dziecka.

- To zabawne, że wspomniałaś o pozostaniu na dłużej... - zaczął z pozorną obojętnością.

Mallory spojrzała na niego zaniepokojona.

- O co chodzi? - zapytała.

Wytarła synkowi buzię. Jackson stał tuż obok. To była najdłuższa rozmowa od czasu sprzeczeki. Nie zamierzał dopuścić, by skończyła się zbyt prędko.

- Moje badania nie przebiegają tak sprawnie, jak zakładałem - powiedział, choć wszystkie informacje, które zamierzał zebrać, mógł otrzymać przez telefon, tyle że Mallory nie musiała o tym wiedzieć. - Zapowiada się przeciągnięcie pobytu o kilka dni. Powinienem zostać nieco dłużej, niż pierwotnie planowałem.

Jackson studiował twarz Mallory, próbując się zorientować, czy jest zadowolona, że pobędą jeszcze przez pewien czas razem.

- Tylko nie czuj się jak u siebie w domu - ostrzegła go Mallory, czując gwałtowne bicie serca. - Musisz wyjechać, zanim Steven wróci z podróży.

- Dlaczego? Myślałem, że nie jest zadrosny.

- Nie jest, lecz nie zamierzam go prowokować.

- Na szczęście jego nieobecność się przedłuży, więc mam pewien luz.

Ale nie ja, pomyślała Mallory i zaczęła składać kaftanik dziecka. Jacksona ogarnęło zniecierpliwienie. Czuł się jak pies, który nie może znaleźć wygodnego miejsca na dywaniku.

Dotknął ramienia Mallory, lecz poczuł, że nagle zeszytniała. Co zrobić, żeby mi wreszcie wybaczyła, zastanawiał się gorączkowo.

- Musimy porozmawiać - zasugerował.

To coś nowego, uznała Mallory. Tym razem to Jackson chciał rozmawiać, a ona nie miała na to chęci. Obawiała się po prostu, iż Jackson uwiedzie ją słowami, równie skutecznie jak wczoraj pieścizotami. Wołała nie ryzykować. Nie wierzyła, że warto zaczynać coś, co i tak nie miało szansy na przetrwanie.

Czyny znaczą więcej niż słowa, a Jackson, opuszczając ją, dowiódł, że potrafi być łajdakiem. Wczoraj, pod wpływem namiętności, odsunęła od siebie tę świadomość, lecz dziś jest inaczej.

- Wcale nie - odrzekła, kierując się do wyjścia, lecz Jackson zastąpił jej drogę.

- A czy mogę do ciebie napisać?

Mallory nie znosiła, gdy ktoś pozbawiał ją swobody ruchu i decydował o jej losie, a Jackson właśnie próbował tak postępować.

- To wcale nie jest zabawne - zauważyła.

- Masz rację - odrzekł z powagą. - Ale szukam sposobu, by nawiązać z tobą kontakt.

Mallory zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Myśle, że wczoraj bardzo się o to starałeś.

Jackson nie dał się wyprowadzić z równowagi. Nie będzie na nią krzyczał, choć miał na to ochotę, bo krzyk nic tu nie pomoże. Mallory pomyśli, że chce ją do czegoś zmusić. Postanowił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie odniosła takiego wrażenia. Zgodzi się nawet na rozstanie, jeśli ona tego zechce, choćby miało go to zabić.

- Chcesz powiedzieć, że nie pragnęłaś tego, co wczoraj między nami zaszło? - spytał, pochmurniejac.

Mallory obiecała sobie, że nie wpadnie w gniew i nie podniesie głosu, choć to nie było łatwe.

- Za bardzo chciałam i w tym cały problem, bo nie sądzę, by należało rozdrapywać stare rany - odrzekła, dziwiąc się, że Jackson tego nie rozumie.

On jednak doskonale wyczuwał sytuację. Zdawał sobie sprawę, iż Mallory pragnie go równie mocno jak on jej. Czemu nie może się z tym pogodzić? Dlaczego nie akceptuje jego powrotu?

- Spróbujmy - zaproponował, kładac dłoń na jej ramieniu. Mallory strząsnęła z siebie jego rękę. Nie miała zamiaru z nim dyskutować. Mogła udawać, że wczoraj nic się nie zdarzyło. W końcu on sam tak postępował. Zignorował cztery miesiące ich związku i odszedł.

Wzięła dziecko na ręce, wsunęła pod ramię jego ubranka i powiedziała:

- Muszę iść na górę, żeby przewinac małego. Jackson pociągnął nosem.

- Chyba już za późno - zauważył. - A przy okazji - zaczął, podążając za Mallory do sypialni - naprawdę był do ciebie telefon. Dzwoniła jakaś Urszula, żeby powiedzieć, że ktoś kupił rezydencję Melville.

Mallory położyła niemowlę i spojrzała na Jacksona z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

Czemu nie patrzyła na niego w ten sposób, gdy chciał z nią rozmawiać o sprawach osobistych?

Jackson obiecał sobie, że nie zrezygnuje. Próbując być pomocnym, wyciągnął pieluszkę z opakowania i rozłożył ją na stole.

- Rozumiem, że zależało ci na sprzedaży tego domu? - spytał.

Mallory zaczęła przewijać dziecko.

- Tak - odparła.

Jackson podał jej pojemnik na zużyte pieluchy.

- Gratuluję. Trzeba to oblać.

- Nie sądzę, bym miała czas na...

Znowu odmowa. Jackson nie chciał tego słuchać. Zmienił strategię.

- Czemu nie miałbym zastąpić cię przy Joshui? - powiedział, pochylając się nad dzieckiem. Mallory cofnęła się o krok, dziwiąc się, że tak dobrze sobie radzi.

- Nie musisz tego robić - rzekła.

- Nie bój się. Jesteśmy z Joshem starymi kumplami, prawda, mały? - zażartował, wprawnie pudrując dziecku pupę.

Popatrzył z uśmiechem na chłopczyka, który właśnie bawił się swoją nóżką, a potem podniósł wzrok na Mallory. Miała dziwny wyraz twarzy.

- Wiesz, nigdy nie pragnąłem mieć dzieci - ciągnął, udając, że niczego nie zauważył. - Moi rodzice stworzyli w domu taką atmosferę, że zniechęciłem się do zakładania rodziny. Wydawało mi się, że lepiej przejść przez życie samotnie, ale teraz, widząc Josha... - połaskotał chłopczyka pod bródką - zaczynam zmieniać zdanie. Chciałbym mieć dziecko - powiedział, przytulając do siebie niemowlę.

Mallory wzięła od niego Joshuę, starając się nie myśleć o tym, że mały jest nie tylko jej synem.

- Gdzie byś je trzymał? - spytała.

- W tylnej kieszeni spodni - zażartował, ukrywając zmieszanie. - Co masz na myśli? Gdzie zwykli ludzie trzymają dzieci?

Ów problem dotyczył normalnych ludzi, a styl życia Jacksona czynił go dziwakiem.

Przypominał raczej nomadę.

- Nigdzie nie zapaściłeś korzeni. Wynajmujesz dom, żeby gdzieś pomieszkać, a potem ruszasz w świat. Sam mi powiedziałeś, że takie życie najbardziej ci odpowiada.

A ja byłam na tyle głupia, iż sądziłam, że uda mi się ciebie zmienić, dodała w duchu.

Jackson owinął sobie wokół palca pukiel włosów Mallory.

- W pewnych okolicznościach mógłbym się zmienić. Mallory odsunęła się od mężczyzny, niezadowolona, że z taką łatwością dobiera się do jej serca.

- Oczywiście - przyznała, schodząc na dół z dzieckiem na rękę.

Jackson poszedł za nią.

- Nie wierzysz?

- Nie.

Mallory ułożyła dziecko w kojcu.

- Rozumiem, że powinienem cię przekonać.

- Nie musisz - odparła i otworzyła lodówkę.

Jacksonowi trudno było mierzyć do ruchomego celu. Został w pokoju, obserwując chłopczyka, który poruszał nóżkami, jakby uczył się chodzić.

- Dobrze, więc... - zaczął głośniej, by Mallory mogła słyszeć go w kuchni, ale przerwał mu dzwonek telefonu.

Mallory skorzystała z okazji, by zmienić temat.

- Odbierz telefon. Jestem zajęta - powiedziała, wychylając się na moment z kuchni.

Jackson chciał rozmawiać tylko z nią, a nie z kimś innym.

- Włączyłem automatyczną sekretarkę - odrzekł, stając w kuchennych drzwiach. - Nie obawiasz się, że to może być Steven? Nie będzie zazdrosny?

- Po prostu podnieś słuchawkę, dobrze? To może być ważne - ponagliła go, podgrzewając butelki z odżywką.

Chciała, żeby wreszcie stąd wyszedł i przestał ją przekonywać, iż mają przed sobą jakąś przyszłość, skoro ona wiedziała, że tak nie jest.

Jackson zbliżył się do telefonu w ostatniej chwili. Podniósł słuchawkę w momencie, gdy włączała się automatyczna sekretarka.

- Proszę zaczekać - powiedział. - Mallory życzyła sobie, żebym w jej imieniu odebrał telefon, więc proszę się nie rozłączać.

Jeśli dzwonił Steven Mitchell, to Jackson miał nadzieję, że telefonuje z miejsca, które niebawem przestanie istnieć.

Zaczynam wariować, pomyślał. Kocham swoją byłą dziewczynę i jej dziecko. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnę znowu być z tą, którą opuściłem. Od której uciekłem, uzmysłowił sobie, podnosząc słuchawkę.

- Cześć - odezwał się ponętny kobiecy głos.

Jeszcze niedawno Jackson natychmiast stworzyłby sobie w wyobraźni odpowiednio atrakcyjny wizerunek rozmówcy, ale teraz interesowała go wyłącznie kobieta, która w pomieszczeniu obok przygotowywała odżywkę dla niemowlęcia.

- Halo! Mallory w tej chwili zajmuje się dzieckiem. Zechce mi pani przekazać dla niej jakąś wiadomość?

Kto to jest, zdziwiła się Nicole Lincoln. Kiedy ostatnio rozmawiały, Mallory rzeczywiście spodziewała się dziecka, ale żyła samotnie. Widać coś się zmieniło. Nicole uśmiechnęła się do siebie.

- Proszę powiedzieć, że dzwoniła Nicole Lincoln z gratulacjami z okazji urodzenia synka i z podziękowaniem za wspaniały dom. Dennis też jest nim zachwycony - dodała, przypominając sobie o mężu. - Wysłaliśmy jej zaproszenie na małe przyjęcie z okazji oblewania nowej siedziby. Mallory powinna je dostać niebawem.

Jackson mógłby przysiąc, że słyszy płacz dziecka. Rozejrzał się wkoło. To nie Joshua. Płacz dobiegał ze słuchawki.

- O, chyba muszę kończyć - powiedziała Nicole ze śmiechem.

- Proszę przekazać, że jeszcze skontaktuję się z Mallory. I proszę, by nie rezygnowała z udziału w przyjęciu. Nie przyjmę odmowy. Tymczasem!

Jackson odłożył słuchawkę.

- Kto to był? - spytała Mallory, siadając z Joshuą na dużej kanapie, która stała w rogu pokoju, zabierając się do karmienia dziecka.

Jackson zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić do pracy, lecz myśl o towarzyszeniu Mallory wydała mu się bardziej ponętna.

- Jakaś Nicole złożyła ci gratulacje z okazji udanego porodu i powiedziała, że jest zachwycona domem. Kupiła go dzięki twojemu pośrednictwu?

- To była najszybsza transakcja, jaką pamiętam. - Mallory uśmiechnęła się z dumą, wspominając kontakty z Nicole. - Oglądała ten dom z narzeczonym na dzień przed ślubem. Następnego dnia podjęli decyzję. Budynek długo stał pusty, więc właściciele chętnie go odstąpili. Wszystko załatwiono błyskawicznie, nawet formalności związane z podpisaniem umowy. Chyba już się tam wprowadzili - dodała, wyjmując smoczek z buzi małego i wycierając mu usteczka.

Joshua pochłaniał pokarm jak zgłodniały rekin. Jackson obserwował, jak szybko opróżniała się butelka.

- To by wyjaśniało, dlaczego wysłała zaproszenie - powiedział.

- Jakie zaproszenie? - spytała, odstawiając butelkę na stolik. Jackson podał pieluszkę, a Mallory położyła ją sobie na ramieniu, zanim wzięła dziecko na ręce.

- Mówiła, że je dziś dostaniesz.

Mallory spodobał się pomysł uczestniczenia w przyjęciu. Uśmiechnęła się, masując plecki małego i czekając, by mu się odbiło po jedzeniu.

- Otwarcie domu...

- Czy to ten, w którym... - zaczął Jackson z figlarnym błyskiem w oku.

- Nie - odrzekła Mallory.

Dość miała kłopotu z utrzymywaniem dystansu wobec byłego kochanka i bez wracania do wspomnień.

Uwagę Jacksona przyciągnął warkot silnika samochodu. Przed domem zatrzymał się właśnie wóz pocztowy.

- Są listy - rzekł, wstając. - Odbiorę je.

- Nie masz się czym zająć? - spytała, widząc, że stara się być aż nadto uczynny.

- W pracy też trzeba robić przerwy - odrzekł. Po chwili wrócił z plikiem korespondencji.

- To rachunki - powiedział. - Ale jest i zaproszenie - dodał, powiewając białą kopertą.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, sama przejrzę pocztę - rzekła, wyjmując mu list z ręki.

Pragnęła odseparować go od przesyłek i od siebie, zanim zbierze tyle sił, by kazać mu odejść.

- Czemu Steven do ciebie nie pisze? Jest analfabetą? - zapytał Jackson i zaraz zauważył gniew w oczach Mallory.

Specjalnie ją prowokował, chcąc, by wreszcie rozwiązała tę zagadkę albo przekonała go o istnieniu Stevena. Podniósł do góry rękę z resztą korespondencji.

- Nie, mówiłaś, że skończył studia, więc umie pisać. Jest leniwy albo nie martwi się o ciebie. A może tam, gdzie przebywa, nie ma poczty?

- Naprawdę nie muszę ci wyjaśniać swoich stosunków ze Stevenem. W ogóle nie mam obowiązku niczego ci wyjaśniać. Jeżeli nie przestaniesz się wtrącać w moje sprawy, będziesz musiał stąd wyjechać.

- Przepraszam. Od tej chwili będę grzeczny. Naprawdę! - odrzekł, poddając się.

Mallory nie wierzyła takim obietnicom. Prędzej James Dean zaśpiewałby w kościelnym chórze niż Jackson przestanie być wścibski.

Westchnęła i spojrzała na przesyłki. Przerzuciła koperty i zdecydowała się obejrzeć najpierw zaproszenie. Rachunki mogły poczekać na swoją kolej.

W kopercie była pocztówka przedstawiająca ptaszki w gniazdku, które śpiewały, że adresat kartki będzie mile widziany na przyjęciu.

„Zapraszamy mamy z dziećmi. Dopuszcza się obecność

PANNA Z DZIECKIEM, mężów" - dopisano odręcznie. Była jeszcze informacja o terminie spotkania poprzedzona słowem „przyjdź” wypisanym dużymi literami.

Mogłabym się wybrać na to przyjęcie, pomyślała Mallory. Parę godzin między ludźmi dobrze mi zrobi. Joshua zaczął się wiercić, przywracając ją do rzeczywistości. Rozejrzała się i stwierdziła, że Jackson zagląda jej przez ramię, czytając zaproszenie.

- A co z przyjaciółmi? - spytał. - Też są mile widziani? Znowu znalazł się zbyt blisko, pomyślała.

- Pytasz, czy mógłbyś tam ze mną pójść?

- Tak. - Jackson uśmiechnął się stanowczo zbyt promiennie, żeby uznać to za niewinny uśmiech.

- Dlaczego?

- Bo chcę, a poza tym pragnę poznać twoich przyjaciół - odrzekł, rozsiadając się wygodnie na kanapie. - Gdy byliśmy razem, unikaliśmy kontaktów z ludźmi - zauważył.

Rzeczywiście, pomyślała Mallory. Wystarczali sobie nawzajem. Budowali własny świat. Dlatego kiedy Jackson odszedł, poczuła wokół siebie pustkę. Tak jakby została sama na ziemi. Dopóki nie dowiedziała się, że urodzi Joshuę.

- Przestań - powiedziała, czując, że Jackson dotyka palcem jej szyi.

- Dobrze się składa - ciągnął - bo w sobotę jestem wolny, a skoro możemy pójść z Joshem, nie trzeba będzie martwić się o opiekunkę do dziecka.

- A jeśli nie zechcę, żebyś ze mną poszedł? Niemożliwe. Miał zamiar nie opuszczać jej ani na chwilę, dopóki nie zjawi się Steven.

- Oczywiście, możesz nie chcieć - odparł i lekko musnął ustami wargi Mallory. - A teraz, jeśli mam tam iść, muszę zająć się pracą. Nie mogę tu stać i gadać z tobą przez cały dzień - powiedział z powagą, choć w jego oczach czaił się uśmiech.

Siedziała, patrząc, jak wychodzi i zamyka frontowe drzwi. Wziął ze sobą podręczny komputer, by pracować w bibliotece.

Zwariował, zupełnie zwariował, pomyślała.

Po raz pierwszy zachowywał się w taki sposób, uświadomiła sobie, wstając, by zadzwonić do Nicole i potwierdzić przyjęcie zaproszenia.

- Dobrze pamiętamy, jak to było - powiedziała do Joshui. Chłopczyk popatrzył na nią oczami swego ojca.

- Mój Boże! - westchnęła i potrząsnęła głową. Wiedziała, że powinna była wyrzucić Jacksona za drzwi, gdy tylko pojawił się w jej biurze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mallory niosła Joshuę na rękę, pozostawiając Jacksonowi dźwiganie fotelika dla niemowlęcia i prezentów przeznaczonych dla Lincolnow. Szli pieszo, bo tak dużo samochodów stało po obu stronach ulicy, że z trudem znaleźli miejsce do parkowania w dosyć odległym punkcie.

- Co ty tu włożyłaś? - utyskiwał Jackson, nie mogąc sobie poradzić z pakunkami.

- Podpórki na książki - odrzekła Mallory i uśmiechnęła się do siebie, kiedy dotarli wreszcie do właściwych drzwi.

- Z litego żelaza?

- Kamienne - sprostowała, wyplątując pukiel swoich włosów z paluszków synka. - To Apollo i Diana. Są ciężkie, bo chciałam, żeby podtrzymywały naprawdę dużo książek.

- Z pewnością spodobają się Lincolnom - zauważył Jackson.

Ledwie Mallory dotknęła dzwonnka, a drzwi natychmiast stanęły otworem. Pojawiła się w nich drobna, niebieskooka Nicole Lincoln. Kobiety uściskały się na powitanie.

Gospodyni domu obrzuciła wzrokiem Jacksona, nie okazując natrętnej ciekawości.

- Obawiałam się, że nie przyjdiesz - zwróciła się do Mallory, zapraszając gości do środka.

- Przecież obiecałam.

Nicole wiedziała, jak szybko zapomina się o obietnicach, gdy człowiek jest zmęczony i niewyspany.

- Ale tak niedawno urodziłaś dziecko - powiedziała, przyjmując z rąk Jacksona elegancko zapakowane prezenty.

Od razu ugięła się pod ciężarem paczek.

- Ojej, co tu jest? - spytała.

- Sądziłem, że kule armatnie. Witam. Jestem Jackson Cain. Przyszedłem z nimi. - Skinieniem głowy wskazał na Mallory i dziecko.

Nicole odpowiedziała przyjaznym uśmiechem.

- Na pewno dobrze się czujesz? Wiem, że zmusiłam cię do przyścia, lecz jeśli coś jest nie tak... - Gospodyni zwróciła się do przyjaciółki.

Mallory machnęła ręką, rozpraszając wątpliwości Nicole. Specjalnie nie popatrzyła na Jacksona. Domyślała się wyrazu jego twarzy. Oboje dobrze wiedzieli, że po porodzie jest w znakomitej kondycji.

- Myślisz, że tylko ty i twoja siostra macie patent na szybkie dochodzenie do formy po porodzie? W dawnych czasach wystarczyły dwa dni i kobieta wracała do pracy w polu.

Stojąc w drzwiach, Mallory zauważyła, że wewnątrz było sporo gości. Wszystkie pokoje świeżo odmalowano i wytapetowano.

W zaskakująco krótkim czasie Nicole przywróciła blask całemu domowi. Wymieniła też stare meble, utrzymane w prowincjonalnym stylu francuskim, na nowe, bardzo wygodne i funkcjonalne. Kiedy Mallory demonstrowała to wnętrze kupującym, salon utrzymany w ciemnej tonacji kolorystycznej wydawał się za ciasny. Teraz, nawet wypełniony gośćmi, sprawiał wrażenie przestronnego. Z okien zniknęły ciężkie, granatowe zasłony zastąpione pastelowymi żaluzjami.

- Pięknie to wszystko urządziłaś - zachwyciła się Mallory. Nie było łatwo poradzić sobie ze wszystkimi przeróbkami, jeśli dysponowało się skromnym budżetem. Lecz Nicole i Dennis wiele zrobili sami.

- Jeszcze trochę pracy zostało - odrzekła gospodyni, dumna z pochwał.

- Właśnie - wtrącił jej mąż, zbliżając się, by powitać nowych gości. - Ale ja lubię prosty wystrój - dodał.

Widać było, że podobnie jak wszyscy jest pełen podziwu dla dekoratorskich zdolności żony.

- To znaczy: skrzynki po pomarańczach ustawione wokół telewizora - głośnym szeptem uzupełniła Nicole.

- Skrzynki są lekkie i łatwo je przesunąć, gdy moja pani ma ochotę na tańce. A to się zdarza - skomentował żartobliwie Dennis.

Popatrzył na Jacksona, domyślając się w nim bratniej duszy. Od razu uznał, że on i Mallory tworzą dobraną parę.

- Czy mogę zająć się twoim dzieckiem? - spytał, zwracając się do Mallory.

Do grupki osób rozmawiających ze sobą w holu podeszła Marlene Bailey Travis. Marlene, w przeciwieństwie do jasnowłosej młodszej siostry, była brunetką, ale uśmiechała się podobnie jak Nicole. Obie miały też lazurowe oczy.

- Dzień dobry - powiedziała, wyciągając rękę do Jacksona. - Chyba widzieliśmy się w biurze tego dnia, gdy zabierałaś Mallory do szpitala. - To, o czym mówi mój szwagier - zauważyła, zwracając się do przyjaciółki - ma znaczyć, że prowadzimy tu coś w rodzaju dziennego żłobka. Marlene z czułością spojrzała na synka Mallory. Jej Robby miał teraz trzy miesiące i był dużo większy od Joshui. Kiedy Marlene patrzyła na swoich siostrzeńców oraz na synka Erin, Jamie'ego, dochodziła do wniosku, że po prostu przepada za dziećmi i przy odrobinie szczęścia za rok Robby powinien mieć brata lub siostrzyczkę.

- Sally zajmuje się dziećmi w sypialni przeznaczony dla gości - wyjaśniła.

- Sally? - Jackson próbował zapamiętać każde z usłyszanym imion.

Obserwował gości zgromadzonych w pokoju i, jak zawsze, poszukiwał wśród nich bohaterów swoich przyszytych książek.

- To moja gospodyni. Teraz pełni rolę niani. Kiedyś wychowywała mnie i Nicole. Dziś nie chciała zostać w domu, gdy dowiedziała się, że ja i Sullivan wybieramy się na przyjęcie z Robbym. Myślę, że nie ufa mi jako młodej matce - dodała z uśmiechem.

Do Marlene zbliżył się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna i położył rękę na jej ramieniu.

- To dlatego, że nie wie, jaka jesteś zdolna - zwrócił się do żony. - Witajcie - rzekł, uśmiechając się do Mallory i ściskając Jacksonowi rękę na powitanie. - Jestem Sullivan Travis, mąż Marlene.

- Jackson Cain.... przyjaciel Mallory. Przedstawiając się, Jackson spojrzął znacząco na Mallory i spostrzegł, że się zarumieniła.

- Ależ Sally doskonale o tym wie - powiedziała Nicole - tylko po prostu nie chce pogodzić się z myślą, że już dorosłyśmy i nie we wszystkim potrzebujemy jej pomocy.

- To dlatego, że w dzieciństwie byłaś taka roztrzepana, więc teraz Sally boi się, że kiedyś upuścisz któreś ze swoich bliźniąt - zażartowała Marlene.

- A jak wytłumaczysz, że ciągle troszczy się o ciebie? - ze śmiechem spytała Nicole.

Widząc, że zanosi się na dłuższą, sięgającą w przeszłość wymianę zdań między siostrami, Dennis spojrzął znacząco na Jacksona.

- Czemu nie przejdziemy do salonu? - zaproponował. - Lepiej nie tamować ruchu w przedpokoju.

- Świetny pomysł - zgodziła się Marlene i wzięła Mallory pod ramię. - Musimy pogadać - rzekła, rzucając okiem na jej towarzysza.

- To stary przyjaciel - wyjaśniła Mallory.

Dennis wyczuł lekkie wahanie w jej głosie. Był bardzo wyczulony na takie sprawy. Jako prawnik pracujący w ministerstwie finansów miał doświadczenie w postrzeganiu rzeczy, na które nie zwracali uwagi przeciętni ludzie. Coś się kryło w zachowaniu Mallory, lecz Dennis postanowił pozostawić żonie prowadzenie śledztwa.

- Cóż, „przyjacielu Mallory”, nie napiłbyś się czegoś?

- Z przyjemnością - odrzekł Jackson.

Nicole przekazała prezenty od Mallory Dennisowi. Nie mogła się doczekać, kiedy zostanie z przyjaciółką sam na sam i będzie mogła ją o wszystko wypytać.

- Połóż to obok innych podarunków, kochanie - poprosiła.

Dennis uniósł brwi ze zdziwienia, ważąc paczki w ręku.

- To podpórki do książek - wyjaśnił Jackson.

- Nie chciałbym, żeby posłużyła się nimi Nicole - westchnął gospodarz domu.

Raz miał okazję widzieć, jak żona zachowuje się w chwili złości. I uważał, że było to o jeden raz za dużo. Lepiej zawczasu się zabezpieczyć, niż potem narzekać, pomyślał.

- Daj mi go potrzymać. - Marlene wprost nie mogła się doczekać, by wziąć Joshuę w ramiona. - Chodź do mnie, słoneczko - powiedziała, wyciągając rękę.

- Chyba będziemy mieli tuzin dzieci - zauważył Sullivan, widząc zachwyt malujący się na twarzy żony. - Ile razy Marlene znajdzie się w pobliżu niemowlęcia, odzywa się w niej instynkt macierzyński - wyjaśnił dwóm pozostałym mężczyznom. - Jedno dziecko jej nie wystarcza. Uważa, że Robby zbyt szybko rośnie.

Jackson spostrzegł, że myśl o gromadce dzieci cieszy nie tylko Marlene, lecz Sullivana również. Potem dostrzegł pełne obawy spojrzenie Mallory, która wraz z innymi kobietami wychodziła z pokoju, pozostawiając go wśród nieznanomych.

- Dasz sobie radę? - spytała.

- Zaopiekujemy się nim - zapewnił ją Dennis. - Pogadaj z Nicole, bo umiera z niecierpliwości. A ty nie męcz jej za bardzo - zwrócił się do żony.

Spojrzenie Nicole świadczyło, że nie zamierza zbytnio się przejmować tym pouczeniem.

Pociągnęła za sobą Mallory.

- Mów, co się dzieje? - zażądała.

- Rośnie zainteresowanie nieruchomościami - odpowiedziała Mallory. - Dobrze, że udało się wam z Dennisem załatwić szybko tę transakcję.

Marlene okazała się nie mniej ciekawa niż jej siostra.

- Wiesz, o co jej chodzi. To bardzo przystojny mężczyzna. Kim on jest? - zapytała wprost.

- Przystojny? Wspaniały! - wykrzyknęła Erin Lockwood, pojawiając się za plecami Mallory. -

Gdyby nie Brady, powalczyłabym z tobą o niego.

Jej zielone oczy błyszczały podnieceniem, gdy całowała Mallory na powitanie. Erin, Mallory, Nicole i Marlene poznały się w klinice doktor Pollack, kiedy siedziały w poczekalni, czekając na wyniki badań. Połączyły je problemy macierzyńskie. Wiele rozmawiały na temat wychowywania dzieci. Dzielily ze sobą wszystkie radości i smutki.

- Masz piękne dziecko - uznała Erin, dotykając palcem małej piąstki Joshui.

Malec natychmiast pochwycił zdobycz i spróbował wsadzić ją sobie do buzi. Erin ze śmiechem uwolniła się z uścisku drobniutkich rączek.

- Ciągłe jest głodny - westchnęła Mallory. - Powinam go nakarmić - rzekła, zdejmując z ramienia torbę wypełnioną niemowlęcymi akcesoriami.

- Sally cię wyręczy - powiedziała Nicole.

Jako dobra gospodyni chciała, by jej goście dobrze bawili się na przyjęciu. Gdyby nie Mallory, Nicole z Dennisem i bliźniakami dotąd gnieździłoby się w niewielkim mieszkanku z ogródkiem, które Nicole zajmowała przed ślubem. Kawalerka Dennisa też nie nadawała się na locum dla takiej rodziny, nie wspominając już o psie zwanym Romeo, który nie znosił ciasnych pomieszczeń.

- Nie będzie miała nic przeciwko temu? - upewniała się Mallory.

- Coś ty? Odkąd pojawiły się u nas dzieci, Sally odmłodziła. Możesz mi zaufać. Siłą ci odbierze małego, by móc się nim zaopiekować - roześmiała się Marlene.

- No, chodźcie wreszcie. Trzeba zająć się Joshem - ponagliła Nicole.

- A Mallory opowie nam o tym wspaniałym mężczyźnie, który z nią przyszedł - zaproponowała Erin.

Marlene spojrzała na Jacksona. Stał w otoczeniu innych mężczyzn. Do grupki zbliżał się właśnie Brady, mąż Erin. Ustawili się jak do fotografii, pomyślała. Marlene cieszyła się, że goście dobrze się bawią w domu siostry. Jeszcze raz przyjrzała się Jacksonowi. Potem rzuciła okiem na Joshuę. Dziecko miało takie same kruczoczarne włosy.

- On jest ojcem małego, prawda? - spytała cicho. Kobiety nagle zamilkły.

Wiedziałam, że tak będzie, pomyślała Mallory.

- Nie bój się - powiedziała Marlene - on nie słyszał. Nawet gdyby umiał czytać z ruchu warg, to nie mógłby zrozumieć, o czym mówimy, bo stoi odwrócony tyłem.

- Ojcem? - powtórzyła Nicole, nie słysząc żadnej odpowiedzi Mallory.

- Naprawdę? - zdumiała się Erin i przytuliła Mallory. Tak niedawno połączyła się z mężem, który przez pięć miesięcy przebywał z dala od domu. Niewiele brakowało, a ich związek byłby się rozpadł. Erin wiedziała, co znaczy radość ponownego połączenia.

- To wspaniale - powiedziała ze łzami w oczach.

- Nie tak bardzo - odparła Mallory, która zdawała sobie sprawę, że musi powiedzieć przyjaciółkom prawdę.

- On nie wie? - Nicole natychmiast pojęła jej sens słów. Mallory skinęła głową.

Oszołomiona Erin nie mogła pojąć, czemu Mallory nie wyznała prawdy Jacksonowi.

- Dlaczego?

Mallory westchnęła, niepewna, czyjej argumenty wydadzą się przyjaciółkom przekonujące. Dla niej były bardzo istotne.

- Nie chcę, żeby był ze mną ze względu na dziecko.

A jeśli odejdzie, złamie mi serce, dodała w duchu.

Marlene uważała się za eksperta w tych sprawach. Widziała, w jaki sposób Jackson spoglądał na Mallory, kiedy się przedstawiał. Ślepy by zauważył, że coś ich łączy.

- Nie wygląda na człowieka, który się do czegośkolwiek zmusza - powiedziała.

Mallory nie miała ochoty dyskutować na ten temat nawet z przyjaciółkami. Znała Jacksona lepiej niż ktokolwiek inny.

- Ponieważ pragnie być wolny. W każdej chwili może odejść i wrócić - rzekła i pochyliła się, by pocałować Joshuę w główkę. - To mu odpowiada.

Marlene wyczuła ból w głosie Mallory i ogarnęło ją współczucie. Niełatwo jest kogoś kochać. Sprawy zawsze się komplikują.

- Nie sądzisz, że powinnaś dać mu wybór? - spytała. Drzwi za nimi otworzyły się i do pokoju weszła niska, tęga, siwowłosa kobieta.

- Nigdy nie dawajcie mężczyźnie wyboru - rzuciła Sally. Nie przedstawiając się i nie witając, wzięła dziecko z rąk Mallory.

- Dokonajcie za niego wyboru i pozwólcie mu myśleć, że sam o wszystkim zdecydował. Tylko tak się postępuje.

Marlene otoczyła starszą panią ramieniem. W dzieciństwie obie z siostrą często się do niej przytulały.

- Zwykle rozmawiamy z Sally o swoich sercowych problemach.

- A potem robimy wszystko na odwrót - dorzuciła Nicole. Kiedy Sally głośno zaprotestowała, Nicole pocałowała ją w pomarszczony policzek, nie przejmując się reakcją niani. Zawsze tak było. Rozumiały się bez słów.

- Sally, to jest Mallory Flannigan. Sprzedała mi ten dom. Nam sprzedała - poprawiła się Nicole. Boże, to wszystko wydawało się ciągle takie nowe. Trudno było znów zacząć myśleć o sobie jak o zamężnej kobiecie. Jej pierwsze małżeństwo zawarte w pośpiechu po to, by wydostać się spod kontroli nie kochanego ojca, wcale się nie liczyło. Nic się nie liczyło, dopóki w jej życiu nie pojawił się Dennis. A z nim wszystko wydawało się wspaniałe.

Na początku było między nimi coś nieszczerzego, ale stopniowo związek zacieśniał się i krzepł. Nicole miała wrażenie, że nikt poza nią nie doświadczył czegoś podobnego. Ale teraz, gawędząc z przyjaciółkami, dochodziła do wniosku, że miały podobne przeżycia.

- No dobrze, idźcie już - powiedziała Sally, trzymając jedną ręką Joshuę, a drugą wypychając młode kobiety z pokoju. - I nie wpuszczajcie tu tego zaślinionego kundla. Mówię o psie, a nie o żadnym z gości - dodała.

Nicole i Marlene wymienili spojrzenia. Sally chyba nigdy się nie zmieni i być może właśnie to jest w niej najlepsze.

- Joshua chce jeść - powiedziała Mallory. Wyciągnęła przed siebie podręczną torbę, ale Sally wcale jej nie wzięła, tylko czekała, kiedy wreszcie Mallory sobie pójdzie.

- Czy nie budzę zaufania? A może wyglądam na kogoś, kto nie potrafi podać dziecku butelki? - spytała niania.

- Oczywiście, że nie - odrzekła Mallory z uśmiechem.

- No to idźcie stąd - powtórzyła Sally - i bawcie się dobrze. Ja już o wszystko zadbam - zapewniła i zamknęła drzwi.

Mallory żałowała przez chwilę, że w jej życiu nie pojawił się nikt podobny do tej staruszki.

Kiedy się urodziła, jej matka była znacznie bardziej zajęta sobą niż wychowywaniem córki.

Ojciec zaś wcześniej zniknął bez śladu. Nie widziała go, odkąd skończyła osiem lat.

Dobrze jest mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy, pomyślała, spoglądając na zamknięte drzwi.

- To bardzo stanowcza osoba, prawda? - spytała.

- Tak. - Nicole skinęła głową. - To tylko drobna próbka tego, co potrafi.

W dzieciństwie Nicole nieraz narzekała na wychowawcze metody niani. Jako nastolatka nie akceptowała matki, drażnił ją ojciec nie widzący niczego poza pracą. Była zbyt samodzielna i sprawiała rodzinie sporo kłopotów. Lecz ani Sally, ani Marlene nigdy jej nie zawiodły i za to była im wdzięczna.

- To wspaniała kobieta - przyznała Marlene. - Chodź - zwróciła się do Mallory. - Sally ma rację, powinniśmy się zabawić.

Mallory chętnie przystała na propozycję przyjaciółki. Bardzo potrzebowała odprężenia.

- Podobają mi się twoi przyjaciele - oświadczył Jackson, podając Mallory szklanekę ponczu.

Dał jej trochę swobody i czasu na pogawędkę z przyjaciółkami, zanim znowu się do niej zbliżył.

- Wiedziałaś, że Dennis pracuje w ministerstwie finansów? - zapytał, obserwując, jak gospodarz domu przekomarza się z żoną, która szepcze mu coś do ucha, a potem całuje go w policzek.

Szczęściarz z niego, pomyślał Jackson. Tak bardzo pragnął mieć kogoś bliskiego, z kim mógłby dzielić radości i smutki. Spojrzał na Mallory.

- Myślę, że umówię się z nim któregoś dnia i poproszę o szczerą rozmowę. Jego uwagi przydadzą mi się w pracy nad książką.

Mallory skinęła głową. Widok bliskości Nicole i Dennisa sprawiał jej ból. Stali obok siebie tak jak ona i Jackson, lecz to tylko uświadamiało jej, czego nie zazna w życiu. Małżeństwa z człowiekiem, który traktowałby ją jak partnerkę.

- Więc nie była to dla ciebie zupełna strata czasu - zauważyła.

- O czym ty mówisz? - spytał zdziwiony.

- O przyjściu ze mną tutaj. Sądziłam, że będziesz się nudził - rzekła, pociągając łyk ponczu.

Jak mogła sądzić, że się nudzi, skoro stała tuż obok, pomyślał.

- Wcale się nie nudzę - odparł. - Tylko jestem ciekaw.

- Czego?

- To twoi przyjaciele, prawda? - zaczął powoli.

- Niektórzy z nich - przytaknęła. - Dlaczego pytasz?

Mallory nie zwróciła uwagi na dziwny ton głosu Jacksona.

- Czemu nikt z nich nie zapytał o Stevena?

Dennis, Sullivan ani Brady nie znali Stevena Mitchella, lecz ich żony powinny napomknąć o nim choć słowem. Jeśli istniał.

- Nigdy się nie spotkali - odpowiedziała, wzruszając ramionami. - Steven jest nieśmiały i nie czuje się dobrze wśród obcych.

Jackson pokiwał głową, udając że bierze wyjaśnienie Mallory za dobrą monetę.

- Ciągłe zachowuje się jak członek sekty - stwierdził. Mallory popatrzyła na niego z gniewem.

Nie chciała robić sceny, ale też nie zamierzała dłużej słuchać takich komentarzy.

- Nie psuj mi humoru, dobrze?

- W jaki sposób? Mówiąc o Stevenie? - spytał, lecz widząc gniewne spojrzenie Mallory, dodał: -

Niczego nie psuję, po prostu prowadzę badania jak prawdziwy pisarz. Lubię wiedzieć, co jest

grane - rzekł i otoczył ją ramieniem. - Chcę zebrać jak najwięcej informacji o moim konkurencie, by go pokonać.

Mallory spojrzała na niego ze zdumieniem. Czemu nie mogę zajrzeć do twojej duszy, pomyślała. Pewnie jej nie masz. Więc jak mogę znowu ci uwierzyć? A co potem?

Dotknął jej policzka. Pragnął tej kobiety. W pokoju pełnym ludzi nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że ją rozbiera i dotyka jej ciała. Całuje każdy centymetr jedwabistej skóry, póki Mallory nie zacznie jęczeć i godzić się na wszystko, co zechce z nią zrobić. A potem kocha się z nią aż do osiągnięcia ekstazy.

- Dlaczego? - zapytała.

Jackson przesunął kciukiem po dolnej wardze Mallory, aż poczuła, że ogarnia ją podniecenie.

- Jak myślisz?

- Sądzę, że sam możesz czegoś nie chcieć, lecz nienawidzisz myśli, że mógłby dostać to ktoś inny - rzekła, próbując zwalczyć rodzące się uczucia.

- Naprawdę? - spytał i opuścił rękę.

Mallory wyglądała tak, jakby obawiała się myśleć inaczej, choć bardzo pragnęła, by rzeczywistość zaczęła wreszcie sprzyjać jej marzeniom.

- Nie wiem.

Nie mógł jej winić za taką postawę. Przecież zranił ją, odchodząc.

- No cóż, pomyśl o tym. Masz czas. Myśl tak długo, aż dojdiesz do właściwego wniosku.

- A jaki jest ów właściwy wniosek?

Powiedz, proszę, co o tym wszystkim myśleć, błagała go w duchu.

Uśmiechnął się tylko. W oczach Mallory dostrzegł miłość i nadzieję.

- Sama odgadniesz. Odczujesz to - szepnął jej do ucha. Odstawił szklankę i spojrzał na Mallory, a potem, nie zwracając na nikogo uwagi, pocałował ją w usta.

- Tak jak teraz - szepnął. Gdyby tylko mogła mu wierzyć.

- Lepiej pójde i sprawdzę, jak się miewa dziecko - rzekła i odsunęła go od siebie.

- Pójde z tobą.

- Nie - zaprotestowała. - Zostań tutaj.

Kiedyś pójde, bądź pewna, że pójde, pomyślał, patrząc jak Mallory odchodzi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mallory odwróciła się i popatrzyła na Josha, który spał w swoim foteliku na tylnym siedzeniu.

- Czasem trudno mi uwierzyć, że on naprawdę istnieje.

- Myślałem, że nie da się zapomnieć o bólach porodowych - roześmiał się cicho Jackson.

- To prawda, co mówią - odparła zadowolona, iż chłopczyk śpi spokojnie.

- Co takiego?

- Że zapominasz o bólu, kiedy trzymasz dziecko w ramionach.

- Dotyczy to jedynie twojego synka, czy też wszystkich dzieci? - spytał z uśmiechem, mając nadzieję, że Mallory próbuje mu powiedzieć, iż to, co zaszło między nimi, również może być zapomniane.

A jeśli to nieprawda?

- Mojego synka - wyjaśniła.

Mallory patrzyła na rozgwieżdżone niebo i słuchała melodii sączącej się z radia. Nie dawało jej spokoju coś, co Jackson kiedyś jej powiedział. Teraz nadarzył się dobry moment, by o to spytać.

- Jak można coś takiego spartaczyć?

- Co?

Jackson spojrział na Mallory, zdejmując nogę z hamulca, bo zmieniły się światła.

Kiedy przez kilka miesięcy byli razem, Mallory zdążyła sobie wyrobić tylko ogólne pojęcie o stosunkach rodzinnych Jacksona Caina. Wiedziała, że odziedziczył znaczny spadek po dziadku i że nie dbał o rodzinę. Interesowało go wyłącznie pisanie książek, a nie sprawy z przeszłości.

Mallory uznała, że powinna dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu swojego dziecka.

- Powiedziałeś kiedyś, że rodzice spartaczyli ci dzieciństwo czy coś w tym rodzaju. Jak to należy rozumieć?

- Tak mi się powiedziało - odrzekł.

Znała ten ton. Oznaczał całkowite zamknięcie się na otoczenie. Czy to złudzenie, czy też

Jacksonowi stwardniały rysy?

- Nie chcesz o tym mówić?

Rzadko wracał myślami do Alexis i Waltera Cainów. Już nie traktował ich jak rodziców. Po prostu byli ludźmi, którzy przypadkiem nosili to samo nazwisko co on.

- Nie - odrzekł.

- A już zaczynałam wierzyć, że naprawdę się zmieniłeś. Cóż z niej za idiotka. Powinna była wiedzieć, że żadne zmiany w ich stosunkach nie są możliwe. Czemu więc nie może się z tym pogodzić raz na zawsze?

Jechali z dużą prędkością. Wkrótce powinni dotrzeć do domu. Jackson nabrał tchu, powziął decyzję i spojrział na Mallory.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytał.

Ton, jakim zadał pytanie, wskazywał, że pewnie lepiej byłoby nie nakłaniać go do zwierzeń, lecz Mallory nie chciała niczego unikać.

- Tak - odparła.

- Powiem ci - rzekł obojętnie, lecz Mallory spostrzegła, iż, mówiąc to, zaciskał szczęki.

- Moi rodzice nigdy się nie kochali. Połączyli dwie fortuny i tworzyli „ładną parę”, która dobrze się prezentowała na zdjęciach w kronice towarzyskiej. Wcale się nie rozumieli i zupełnie nie dbali o syna, którego spłodzili po to, by mieć dziedzica.

Jackson pamiętał rodzinne kłótnie. Ani ojciec, ani matka nie okazywali mu żadnych uczuć.

Krytykowali go bezustannie.

- Dziadek kochał mnie znacznie bardziej niż ojciec. Starszy pan nie zawsze okazywał wnukowi przywiązanie, ale mały Jackson uważał dziadka za jedynego przyjaciela. Robert Livingston Cain nie był bez wad, lecz dla samotnego chłopca stanowił jedyne wsparcie.

Jackson uśmiechnął się do własnych wspomnień.

- Dziadek był zamknięty w sobie, lecz zdarzały się i lepsze chwile. To, co go łączyło z moim ojcem, prócz nazwiska, to słabość do kobiet. Przepadał za pewną panią lekkich obyczajów o imieniu Annette. Zafundował mi ją na piętnaste urodziny.

- Najwyższy czas, żebyś dojrzał, Jack, i wiedział, jak używać wszystkiego, w co dobry Bóg cię wyposażył - powiedział, przygryzając siwego wąsa. - Dziadek miał swoje przygody z kobietami, ale wieści o tym nie docierały do babci. Ojciec nie był aż tak dyskretny.

Jackson pomyślał, że dziadek miał w sobie więcej hipokryzji niż ojciec, i obojętnym głosem ciągnął opowieść.

- Matka trzy razy próbowała popełnić samobójstwo. Pamiętał, co przeżył za pierwszym razem, kiedy znalazł matkę w łóżku wśród pustych opakowań po środkach nasennych. Na podłodze leżał list informujący o samobójstwie. Chłopiec histerycznie wzywał pomocy, błagał matkę, by

nie umierała. Kiedy wydobrzała, ukarała go za to, że wszedł do sypialni bez pozwolenia. Bardzo wydoroślał tamtego roku.

- Myślę, że próbowała się zabić, by skłonić męża do powrotu, tylko że mojego ojca to nie obchodziło.

Mallory zadrżała, wyobrażając sobie, co musiał czuć jedenastoletni niekochany chłopiec. Doskonale wiedziała, co to znaczy nie zaznać rodzicielskiej miłości.

- Gdzie wtedy przebywałaś? - spytała cicho.

- Głównie w internatach.

Odesłano go tam po pierwszej próbie samobójstwa matki. Rodzice nie chcieli, by płatał się po domu.

- Pewnie zauważyłaś, że nie szanuję autorytetów.

- Zauważyłam.

To były lata dojrzewania, pomyślał Jackson, zaciągając ręczny hamulec. Nauczył się wtedy niezależności. Jak ognia zaczął się obawiać wszelkich uzależnień.

- Wyrzucali mnie z wielu szkół. Ojciec groził, że mnie wydziedziczy, ale dziadek pozbawił go kontroli nad moimi finansami.

Jackson przypuszczał, że to właśnie najbardziej zirytowało Waltera. Chciał ubezwłasnowolnić seniora rodu i przejąć władzę nad fortuną, lecz Robert Livigston Cain zatrudnił armię prawników i pokonał syna.

- Padło przy tym wiele złych słów. W efekcie opuściłem dom, ale miałem okazały fundusz do dyspozycji.

Może sprawiło to światło ulicznej lampy, lecz Jackson mógłby przysiąc, że widzi łzy w oczach Mallory. Nie chciał niczyjego współczucia. Wszystko, o czym mówił, zdarzyło się dawno temu. Może nawet jakiemuś innemu chłopcu. Dorósł i złą przeszłość miał już za sobą.

- Nie lituj się nade mną. Przeżycia z dzieciństwa dały mi sporo materiału do książek. No i może dlatego jestem taki niedobry.

Sama powinna była to powiedzieć, lecz skoro Jackson przyznał, że tak jest, Mallory spróbowała złagodzić efekt jego wyznania.

- Nie jesteś taki zły - rzekła i, wiedzona impulsem, pocałowała go w policzek.

- Próbujesz być miła?

Jackson pochylił się nad Mallory, przesuwał palcami wzdłuż jej piersi. Czuł, że zaczęła szybciej oddychać.

- Patrz, ile w nim spokoju - powiedział, wskazując na niemowlę. - Sądzisz, że to jeszcze potrwa? Mallory doskonale wiedziała, o co naprawdę pyta.

- Będziemy mieć nadzieję - odrzekła.

Jackson uśmiechnął się. Podobało mu się słowo „nadzieja”. Delikatnie pogłaskał Mallory po policzku, co podnieciło ich oboje.

- Zawsze jest jakaś nadzieja - powiedział.

Mallory wyszła z sypialni. Upięta włosy, bo dzień był wyjątkowo gorący, a noc wcale nie przyniosła ochłody.

Jackson siedział na kanapie z notesem na kolanach i coś zawzięcie pisał. Odczuł obecność Mallory i spojrzał na nią wyczekująco.

- Mały śpi - powiedziała i rozpuściła włosy, bo naraz ogarnęło ją uczucie chłodu.

Nie wiedziała, dlaczego drży. Podeszła do niskiego stolika i przysiadła na nim naprzeciwko Jacksona. Trzeba raz z tym skończyć, pomyślała. Jak on zareaguje, kiedy się dowie, że nie tylko starała się trzymać go od siebie z daleka, ale po prostu go okłamywała.

- Zaczynam myśleć, że dobrze byłoby wykraść Sally od Marlene. Ma taki zbawienny wpływ na Joshuę.

Mallory zagryzła wargi. Wdawała się w pogawędkę, chcąc opanować nerwy. Wciąż brzmiał jej w uszach głos Marlene namawiającej, by powiedziała Jacksonowi prawdę o dziecku.

Obserwując go na przyjęciu i słuchając historii z dzieciństwa, czuła się coraz bardziej winna.

Jackson miał prawo wiedzieć, że został ojcem. A co z jego prawami do dziecka?

To pytanie niepokoiło ją przez kilka ostatnich dni. Wreszcie podjęła decyzję.

- Być może powinniśmy porozmawiać - zaczęła. Jakby coś przeczując, Jackson ujął jej rękę i powiedział łagodnie:

- Później.

Teraz pragnął się z nią kochać. Prawdę mówiąc, marzył o tym przez całe popołudnie.

- Ale... - zaprotestowała.

Jackson odczytał to jak zaproszenie. Zsunął się z kanapy i przyklęknął obok Mallory, a potem sięgnął ku jej wargom. Jęknęła, przeczując niebezpieczeństwo.

- Nie, naprawdę, muszę ci powiedzieć... - Nie była w stanie odsunąć go od siebie nawet o centymetr.

Jackson nie chciał słuchać w obawie, że Mallory każe mu odejść. Zamierzał skłonić ją do zmiany postanowienia, zanim zdąży wymówić choćby słowo.

- Później - obiecał. - Wysłucham wszystkiego, co zechcesz mi powiedzieć. Ale nie teraz. Teraz błagam o litość.

- Litość?

- Tak. Pragnąłem cię przez cały dzień. Jeśli masz litość, okażesz mi współczucie. Inaczej umrę z miłości, jak powiada poeta.

- Nie musisz cytować wierszy, chcąc się ze mną kochać - roześmiała się.

Ciągle klęcząc, pieścił dotykiem ramiona Mallory. Zsunął jej bluzkę i spojrzał w oczy.

- Co mam zrobić? - spytał.

Czuła, że Jackson rozpina jej stanik i obnaża piersi.

- Po prostu bądź. Bądź. Podniósł się i wziął ją w ramiona.

- Mam taki zamiar. Chcę się z tobą zestarzeć - rzekł, całując jej szyję i pieszcząc sutki.

Nigdy dotąd nie czuł czegoś podobnego. Mallory ujęła jego twarz w dłonie.

- Umiesz zażegnawać sprzeczki - zauważyła.

Nie była w stanie myśleć o czymkolwiek, czując ogarniające ją podniecenie.

- Nie żartuję, Mallory. To czysta prawda.

Poczuła wyrzuty sumienia. Jackson mówił o prawdziwych uczuciach, a ona przez cały czas tała przed nim fakt, że jest ojcem jej dziecka. Co będzie, gdy się o tym dowie?

Jackson spostrzegł wahanie w jej oczach. Pewnie nie wiedziała, czy mu wierzyć. Zdawał sobie sprawę, że zasługuje na odrzucenie, lecz modlił się w duchu, by tak się nie stało.

Za wszelką cenę musiał skłonić ją do przebaczenia. Całując Mallory wypowiedział słowa, które od dawna nosił w sercu:

- Kocham cię. Wróciłem, żeby cię znowu zobaczyć, w nadziei, iż potem o tobie zapomnę.

Popeniłem błąd. Jestem jeszcze bardziej chory z miłości.

- Przeze mnie chorujesz? - spytała Mallory, starając się zrozumieć, o czym Jackson mówił.

- Nie - odrzekł, całując jej piersi. - Mam gorączkę. Krew mi wrze.

Nie przychodziło jej do głowy nic równie poetyckiego. Przez cały czas myślała, że musi mu powiedzieć o Joshui. Wiedziała, jak reagował na kłamstwo. Mógłby ją potem znienawidzić.

- Jackson...

Położył palec na jej wargach.

- Ani słowa - rzekł, a potem zaczął całować coraz mocniej i mocniej.

Ogarnięci namiętnością przestali mówić, a nawet myśleć. Jackson zsunął spódnicę Mallory. Stała przed nim w pantoflach na wysokich obcasach i kremowych majteczkach. Z niecierpliwości omal nie podarł na niej bielizny. Kiedy już ją z niej zdjął, przycisnął mocno do siebie Mallory. Otoczyła nogami jego biodra i pokryła pocałunkami twarz. Jeszcze trochę, a zmusiłaby go, by posiadał ją natychmiast. Powstrzymał się resztką woli.

Nie będzie się zachowywał jak dzika bestia. Nie teraz, kiedy próbuje przekonać Mallory, że łączy ich coś więcej niż tylko seks. Pragnął jej nie na jedną noc, tydzień czy rok, ale na zawsze.

- Bądź bardziej cierpliwa, bo nie ręczę za siebie - powiedział.

Mallory miała nieprzytomne oczy. Wcale nie chciała, by przerywał pieszczoty. Pragnęła kochać się z nim gwałtownie, po barbarzyńsku. Jeszcze mocniej przycisnęła się do Jacksona.

- No to nie - wymamrotała.

- Kobieto, co ty ze mną robisz? Myśli mi się mącą.

Po co to powiedział? Mallory nagle zeszywniała i opuściła nogi na podłogę. Jackson przyglądał się jej zdumiony, niczego nie rozumiejąc.

- Co takiego powiedziałem?

- Że przeze mnie nie możesz pracować.

Ona chce mu wyjawic swoją tajemnicę, a Jackson przygotowuje się do odejścia.

- Ależ przeciwnie. Jesteś jak Julia, moja bohaterka. Kiedy wróciłem, powiedziałem ci, że zbieram materiały do książki. Wtedy to był tylko wykręt, lecz nagle okazało się, że znakomicie mi się w twoim domu pracuje. Jesteś moim natchnieniem.

Tak bardzo pragnęła mu wierzyć.

- Więc nie zamierzasz odejść? Potrząsnął głową i przytulił ją do siebie.

- Nie mogę. Nigdy.

Mallory wspierała się na palce, by go pocałować. Drżała z niecierpliwości, znowu czując ucisk silnych męskich ramion.

Nic już nie mówili. Z pomocą Mallory Jackson w pośpiechu pozbył się reszty ubrania. Jęknął, gdy zsuwała mu spodnie z bioder.

Przesunął dłońmi po nagim ciele dziewczyny, upewniając się, że istnieje i że chce kochać się z nim bez wahania, z własnej woli.

Uwielbiał ją. Pieścił jej ciało w najwymyślniejszy sposób. Ukląkł i zawędrował językiem pomiędzy uda Mallory. Chwyliła go za włosy pragnąc, by nie przerywał tej pieszczoty.

- Rozchyl nogi - szepnął.

Zrobiła wszystko, czego chciał. Wykrzykiwała jego imię, gdy penetrował językiem najintymniejszy zakątek jej ciała. Rozkosz przyszła wówczas, gdy Mallory myślała, że nie znie- sie tego dłużej.

- Jackson, przestań! Nie mogę już... Nie mogę...

- Możesz - powiedział ochryplym głosem. - Oboje możemy.

Wziął ją na ręce i położył na kanapie. Proszę, teraz, pomyślała zdesperowana. Ale Jackson ciągle jeszcze pieścił całe jej ciało językiem i dłońmi, całował piersi i ramiona, zadowolony, że przestała zadawać jakiegokolwiek pytania. A potem wziął ją i oboje pograżyli się w ekstazie.

- Jesteś moja. Teraz i zawsze.

- Tak. Tak.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Świtało. Brzask dotarł już do sypialni. Jackson otworzył oczy. Tym razem nie miał uczucia dezorientacji znanego z niezliczonych miejsc, w których zwykł się budzić jak przystało na nomadę. Dobrze wiedział, gdzie jest i czego chce. Do końca życia pragnął sypiać obok Mallory. Leżała przytulona, jedną ręką obejmując mu pierś. Sam jej widok działał na Jacksona podniecająco. Wystarczyło, by pomyślał, że o mało jej nie stracił, a ogarniało go przerażenie. Lecz nie doszło do tego. Ostatnia noc stanowiła najlepszy dowód. Kochali się przez wiele godzin, robiąc przerwy tylko na karmienie dziecka. Tym razem Joshua nie był zbyt wymagający. Mallory zamruczała coś przez sen i odwróciła się na drugi bok. Jackson usiadł na łóżku, starając się jej nie obudzić. Rzeczywiście musiało być coś zbawiennego we wpływie Sally na dziecko. Mały nigdy dotąd nie był tak spokojny. Jackson uśmiechnął się do siebie. Od dawna nie czuł się równie dobrze. Jeśli miał jakieś wątpliwości, czy słusznie postąpił, wracając do Mallory, to ostatnia noc rozwiązała je bez śladu.

Przypomniał sobie, że w końcu niczego mu nie powiedziała. Ogarnięci namiętnością obywali się bez słów. Teraz był pewien, że Mallory go kocha. Przez chwilę współczuł Stevenowi, który marzył gdzieś wśród lodów Alaski. W końcu uznał, że to nie jego problem. A może jednak? Mallory nie szukałaby pocieszenia w ramionach innego mężczyzny, gdyby nie stchórzył i nie uciekł, wmawiając sobie, że miłość do niej to błąd, który utrudni mu życie twórcze. A przecież to uczucie wyzwało w nim tyle energii, że do końca życia mógł tworzyć w natchnieniu. Miał dosyć okłamywania siebie i Mallory. Naprawdę potrzebował jej i maleństwa, które spało w pokoju obok. Czuł się jak nowo narodzony.

W głowie kłębiły mu się pomysły. Powinien natychmiast zacząć je notować. Komputer stał w innym pokoju, a on nie miał ochoty opuszczać łóżka. Może w szufladzie nocnego stolika znajdzie coś do pisania?

Po cichu otworzył szufladkę i zajrzał do środka.

- Dobra dziewczynka - mruknął.

Wśród różnych drobiazgów leżało tu pióro i dwa ołówki. Zaczął szukać papieru. Wyciągnął plik kartek i zaczął je przerzucać. Przerwał, natrafiwszy na świadectwo urodzenia Josha. Serce zadrżało mu w piersiach, gdy przyjrzał się dokumentowi. Czytał kilkakrotnie poszczególne słowa i nie był w stanie uwierzyć własnym oczom. W rubryce „ojciec dziecka” wpisano „Jackson Cain”. Był ojcem Josha!

Ogarnął go gniew. Spojrzał na śpiącą Mallory. Okłamała go. A przecież, gdy tylko ją zobaczył, zapytał, czy jest ojcem dziecka. Zaprzeczyła, a on jej uwierzył, bo nigdy dotąd nie kłamała. Położył rękę na ramieniu Mallory i potrząsnął nią, a potem cofnął dłoń w obawie, że nie będzie w stanie opanować furii.

Mallory otworzyła oczy, zaskoczona brutalnym przebudzeniem.

- Co się stało? Coś z dzieckiem?

- Tak, z dzieckiem. - Głos Jacksona brzmiał groźnie. Mallory chciała wstać, lecz Jackson chwycił ją za ramię i pchnął z powrotem na łóżko. Spojrzała zdumiona, instynktownie przeczuwając, że wydarzyło coś złego.

- O co chodzi? - spytała.

- To ja chciałbym wiedzieć. - Jackson pokazał jej dokument. O Boże! Znalazł świadectwo urodzenia Joshui. Mallory poczuła, że robi jej się słabo.

- Nie miałeś prawa przeszukiwać moich rzeczy! - krzyknęła, wrywając mu dokument.

- Nie miałem prawa? - Jackson nie potrafił uwierzyć, że Mallory w tej sytuacji się z nim sprzecza. - I ty mi mówisz o prawach? - Podniósł głos. - To ty nie miałaś prawa ukrywać przede mną tego faktu. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Chroniłam Joshuę.

- Przed kim? Czyżbym był potworem?

Mallory chciała uciec, widząc gniew Jacksona, lecz to w niczym by jej nie pomogło. Skoro rzecz wyszła na jaw, trzeba wyjaśnić wszystko do końca.

- Nie. Przed mężczyzną, który mógłby wkraść w życie dziecka i opuszczać je, gdy przyjdzie mu na to ochota, nie bacząc na uczucia chłopca.

Do tej pory nie była pewna, czy Jackson nie jest przypadkiem do tego zdolny. Ostatnia noc nie dowiodła niczego poza tym, że ciągle podnieca ją jego bliskość.

Jackson milczał przez chwilę. A więc widziała w nim potwora.

- Myślałaś, że mógłbym mu to zrobić?

- Przecież mnie to zrobiłeś, a sądziłam, że coś dla ciebie znaczę.

Jackson spróbował się opanować i zrozumieć obawy Mallory. W końcu był pisarzem. Powinien umieć analizować ludzkie uczucia.

- Znaczyłaś i znacysz - przyznał, dotykając łagodnie jej ramienia.

- Ale nie tak wiele jak twoja praca. Nie chcę cię od niej odrywać. Wystarczyło mi, że mogę cię od czasu do czasu „wypożyczać”. Nigdy nie prosiłam, byś ją dla mnie porzucił, ale ty tego nie rozumiałeś - powiedziała cicho.

- Rzeczywiście - zgodził się. - Byłem za bardzo przerażony.

- Ty? Przerażony?

Uśmiechnął się. Gniew go opuścił, więc przygarnął do siebie Mallory.

- Tak. Obawiałem się wspaniałej kobiety, która potrafiła okręcić mnie sobie wokół palca.

- Nigdy w życiu - zaprzeczyła.

- Ależ tak. Nieświadomie to robiłaś. Nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o tobie. Bałem się, że jeśli to potrwa dłużej, przestanę być sobą.

- Więc odejdziesz, tak jak przypuszczałam.

- Nie. Zostanę, bo tego pragnę. - Przytulił ją mocniej

I pocałował. - Nie widzę bez ciebie przyszłości. I myliłem się, sądząc, że przy tobie nie będę mógł pisać. Moja najnowsza powieść będzie najlepsza ze wszystkich, bo nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy.

- A więc zostajesz?

- Tak. Powiedz Stevenowi, żeby zabrał z szafy swoje koszule ze szpilkami.

- Żaden Steven nie istnieje - powiedziała, nie widząc sensu w dalszym okłamywaniu Jacksona.

- Co za niespodzianka! - Pochylił głowę i pocałował pierś Mallory. - Więc teraz będzie Jackson, jeśli zechcesz - dodał pospiesznie.

- O czym ty mówisz?

- Mallory Flannigan, czy wyjdiesz za mnie? - spytał, ujmując ją za rękę.

Tak bardzo tego pragnęła, lecz ciągle jeszcze nie była pewna motywacji jego postanowienia.

- Czy to ze względu na dziecko? - zapytała.

- Częściowo.

- To znaczy?

- Że dziecko jest bardzo ważne, ale przede wszystkim nie chcę stracić ciebie. Już raz przechodziłem przez piekło, gdy uwierzyłem, że jesteś z innym z mężczyzną, a ja sobie na to zasłużyłem, bo odszedłem - powiedział.

- A co z twoją wolnością? Czy nie zostanie ograniczona, jeśli mnie poślubisz? - spytała, uśmiechając się lekko.

- Wolność można odnaleźć wszędzie, a ja tego pragnę. Ty i Joshua jesteście dla mnie najważniejsi. Od dziś mogę twierdzić, że Josh to najwspanialsze dzieło mego życia. Chcę być przy nim, gdy będzie dorastał. Więc wyjdiesz za mnie? - spytał ponownie.

Mallory pomyślała, że chciała usłyszeć to pytanie od chwili, gdy Jackson pojawił się w jej biurze, by wynająć mieszkanie.

- Tak, tak - wykrzyknęła i opadła na poduszkę. - Co teraz zrobimy? - zapytała wesoło. Jackson położył się obok i przytulił ją do siebie.

- Coś wymyślę - zapewnił.

- Chciałbyś się ze mną kochać?

- Niezły pomysł. W końcu jesteśmy odpowiednio ubrani - zażartował i przycisnął usta do jej warg, zakładając, że zdążą jeszcze odbyć podróż do raju, zanim obudzi się ich syn.